ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 36
WARSZAWA
DNIA 7 WRZEŚNIA 1913 R.

RYTMY CHWILI.



Emil Ollivier.



P. Milukow.

Zmarł jeszcze jeden „przyjaciel Polaków“, minister Napoleona III, Emil Ollivier. Rzecz, która go nam niedawno dobrze przypomniała, to pamiętniki jego o Polsce z 1863 roku, wydane przez Fr. Rawitę-Gawrońskiego.

Ongiś potężny człowiek, wygrywający dyplomatyczne skrzypce w Europie, u szczytu mocy i znaczenia, zaufał genjuszowi francuskiemu z czasów wielkiej Rewolucji i pchnął Francję do boju, który się zakończył klęską pod Sedanem. Jeszcze wtedy ostatni „żołnierze-tułacze“ szli z Polski, by tworzyć bataljony niezwyciężonych wolnych strzelców, szukać polskiej doli pod trójkolorowym sztandarem, znajdywać ostatni grób marzeń. Wywdzięczyła się też Francja w osobie Olliviera wspomnianemi pamiętnikami.

Resztę życia poświęcił Ollivier własnej rehabilitacji, której się nigdy nie doczekał u swego narodu. Bo słuszność mają tylko zwycięzcy, nawet... u francuzów. (b)

Pan Milukow jest politykiem wymownym, ruchliwym i wykształconym, ale nieszczęśliwym. Od czasu dc czasu ruchliwość Milukowa bywa dlań źródłem niemiłych przygód, które są przeważnie następstwem jego własnych nietaktów. Bo taktu nie można się nauczyć. O tem dowodnie świadczą siwe włosy leadera kadetów rosyjskich.

P. Milukow wbrew protestom Serbji wszedł w skład komisji, mającej rozpoznawać okrucieństwa Serbów popełnione na terenie wojny bałkańskiej, mimo to, że jawnie opowiedział się za Bułgarją.

Młodzież serbska wyprosiła petersburskiego posła z Białogrodu...

Nie byłoby nic dziwnego w tem, gdyby podobny los spotkał p. Milukowa w Warszawie. (j)

Litewska deklaracja złożona sir Edward Grey'owi dojrzała jako płód indywidualnego natchnienia jednostki niepopularnej i zdyskredytowanej, reprezentującej „naród“ na własną odpowiedzialność. Część prasy litewskiej, między innemi *Viltis* poparła to chybione i obrażające Polaków wystąpienie, by zaskarbić sobie łaski biurokracji rezydującej na Litwie. Półurzędowiec wileński pisze o trwałym podłożu współdziałania Litwinów z nacjonalistami rosyjskiemi. „Realizm“ polityki litewskiej staje się coraz przejrzystszy. (j)

Ach, jaki to był piękny wieczór! Chyba na zawsze zostanie w pamięci tych, którzy go przeżyli.

Dyrektor Za....wski uroczystem przemówieniem rozpoczął

zimowy sezon w swym małym teatrzyku. Właściwie czytał swą orację z pomiętych świstków, zapełnionych wspaniałemi frazesami, od których oczy łzami zachodzą i usta (o dziwo!) skrzywiają się w ironiczny uśmiech. Jesteśmy widocznie bardzo zepsuci, i wzniosłe prawdy w rodzaju: „dwa pomnożone przez dwa, czyni cztery“, zgoła przewrotny wywierają skutek.

W ów inaugaracyjny wieczór obijały się nam te prawdy o uszy, jak groch o ścianę. Dyrektor Za....wski czytał o melancholji i tęsknicy, a potem o tęsknicy i melancholji, a potem... „wprost przeciwnie“. Te dwa wyrazy wirowały bez końca wokół siebie, lub goniły się nawzajem po wodzie frazeologji.

„Młode talenty—seplenił dyr. Z. — mogą się rozwijać w cieplarnianej atmosferze... jak wam o tem, zapewne, wiadomo...“ I rozsunęła się zasłona i ujrzeliśmy owe młode talenty, śród „cieplarnianej atmosfery“, którą wyobrażały postrzępione dekoracje.

Teatr polski zaiste, pracuje w ciężkich warunkach. A biedne krasomówstwo polskiego dyrektora teatru poci się i męczy w znojnych usiłowaniach.

Oh, te warunki! (a)

Oryginalną przygodę miał znany historyk p. Mo...cki w jednem z miast prowincjonalnych. Stanąwszy w pierwszorzędnym hotelu, p. M. wcześnie udał się na spoczynek, jak na uczonego męża przystało. Ubranie swoje p. M. zawiesił na drzwiach od zewnątrz. Przechodzący w nocy kurytarzem hotelowym na czele wesołego towarzystwie hr. P....r przez roztargnienie wziął spodnie p. M. za swój szal, zdjął je i odniósł do jednego z sąsiednich numerów. Z rana historyk znalazł się położeniu... *bez wyjścia!* Administracja hotelu musiała sprowadzić krawca, by ten wybawił p. M. z kłopotu. Nadomiar złego znaleziono nieszczęsne spodnie pod łóżkiem numeru zamieszkiwanego przez pewną wesołą osóbkę... Były to ważkie poszlaki krzywdzące uczonego, jak się okazało później niesłusznie.

Tak, nieraz historyków trzymają się historje mimo ich chęci i woli. (j)

Kobieta na koźle bardziej u d a ł a się Warszawce, niż kobieta przy pulpicie. Nie każda sensacja ma sens, niektóre mają ten sens li w źródłosłowie. Żeby też kto wiedział poco dyr. Śliwiński sprowadzał p. Kitschmanównę aż ze Lwowa... Czyż nie mamy zdolnych muzyków na miejscu? Czy ci lokalni nie potrafiliby poprowadzić orkiestry na jałowe manowce natchnień haremowych.

Z pewnością wywiązaliby się z zadania lepiej od p. K., której pałeczka stale rozmija się z orkiestrą, ujawnia małą rozmaitość tempa i ogólną ospałość. (i)

Wyszachrowało wiedeńskie Koło Polskie w swoim czasie akademję górniczą w Krakowie, którą tytułem odczepnego obiecano kreować w bieżącym roku. Aliści uderzyło na alarm rusińskie narodowo-demokratyczne *Diło*, dlaczego akademja górnicza będzie zbudowana, naprzykład nie w Kołomyi! Politykom „interesu narodowego“ ani rusz nie chce się zmieścić w głowie, że taka akadmja górnicza zawisła jest potrosze od blizkości kopalń, gdzieby studenci mogli urządzać naukowe wycieczki i... od ilości kształcących się. W r. 1904 na akademji górniczej w Leoben było około 60 Polaków, w Przybraniu mniej więcej tyleż, Rusinów zaś tu i tam dosłownie... dwóch. Czyż więc niesłusznie, aby akademja górnicza była w Kołomyi? Bo między narodową demokracją polską i rusińską, siekierka istoty rzeczy musi zawsze utonąć w bagienku „interesu narodowego“, lub podobnie logicznej kalkulacji: Nie daliście nam uniwersytetu we Lwowie, nie damy wam akademji w Krakowie. A rząd austrjacki niczego więcej przecież nie pragnie. (b)

Nareszcie... Nareszcie mamy już swego egzotycznego pisarza, kogoś, co jak Piotr Loti pisze o krajach podzwrotnikowych, gdzie wszystko jest inne, zupełnie inne, niż u nas. Nasz Piotr Loti nazywa się Jagniątkowski i jest kapitanem wojsk francuskich. Zapewne nie wszyscy o tem wiecie, że Jagniątkowski spaceruje sobie po globie, jak po alejach dworskiego parku. Był w Chinach, w Małej Azji, prażył się na słońcu w Marokko.

Tylko...

Tylko egzotyzm Jagniątkowskiego zgoła odmiennie się przedstawia. Wyobraźcie sobie jako tło — Saharę. A na tem tle odbywa się pospolity, warszawski five o'clock. Zupełnie jak u pani Dulskiej. Pan Jagniątkowski mniema, iż będąc Polakiem, obowiązany jest pisać tylko o Polakach. Rozpina więc przędzę najzwyklejszej fabuły na kresach ziemskich i nakręca marjonetki, noszące „patrjotyczne“ imiona, jak *Zosia* lub *Wacław*... Gdyby kapitan Jagniątkowski był, dajmy na to, Niemcem, opisałby romans gejszy i samuraja, opowiedziałby tajemnicę pustyni, nocy marokańskiej, dziwną niespokojność tancerki z Fezu. Ale trudno, obowiązek narodowy przedewszystkiem! Kapitan Jagniątkowski podzieli błędne, a teraz rozpowszechnione mniemanie, iż jedyną bohaterką, godną aby się nią zajął polski autor, jest pani Dulska. Och! Jak strasznie gorąco musi być pani Dulskiej przy czterdziestostopniowym afrykańskim upale!...

Nazywa się to swojski egzotyzm! Trzeba jednak przyznać, że jest nieco wodnisty. I egzotyczne książki kapitana Jagniątkowskiego są w gruncie rzeczy bardzo niewinne... Jak jagnięta pasące się na równinach Mazowsza... w lwich skórach. (a)

Hoch... niemieckiem winem.

Jeszcze jeden toast cesarza Wilhelma. W odmiennych wygłoszony warunkach, kiedy sprawa polska niby czerwona nić wplotła się w węzeł konjunktury europejskiej i powiązała się z polityką wschodnią Austrji.

Inne czasy inne pieśni.

Cesarz Wilhelm nic już nie mówi, jak dawniej, o czelności i natręctwie polskiem, o naturalnem kulturtraegerstwie wyższej arystokratyczniejszej białej rasy, nie szydzi i nie gromi. A może i to wpłynęło na ton mowy, że Bebel nie zabrał ze sobą do grobu świadomości społecznej ludu Niemieckiego, że żywie ona i krzewi się nieustannie.

Dość, że tak złożyły się warunki, iż z ust „szczerego“ i szczerze nienawidzącego Polaków monarchy toast wypadł w innej formie, niż dawniej w Poznaniu, Malborku, Gnieźnie.

Czy trzeba dodawać, że mówiony ten symbol bezzasadności złudzeń dosyć oschle brzmiał po niedawnych fanfarach znamionujących *urbi et orbi* dwudziestopięciolecie panowania pangermanizmu i trwania polskiej niedoli, znać nierozdzielnie skojarzonej z serwilizmem pierwszych w narodzie.

Więc jeszcze jeden toast cesarza Wilhelma. Jeszcze jedna uroczystość dworska na zamku w Poznaniu. Jeszcze jeden akt hołdu zwycięzcom ze strony utytułowanych agrarjuszów i panów polskich...

Są to zjawiska powtarzające się chronicznie, ile ich było już, ile ich jeszcze będzie!

Trudno zrozumieć dlaczego po każdem z nich szaleje w prasie burza, płyną potoczyste tyrady o zgniliznie niewoli, o zginaniu się karków, o upodleniu narodowem.

Temperamenta grają i rumieńce występują na twarzy u tych, którzy przecież wina niemieckiego nie pili. Zastanowiwszy się nad przyczynami tego zjawiska spokojnie przyjdziemy do przekonania, że wchodzi tu w grę stosunek etyki do polityki i rozmaitość poziomów etycznych różnolitych grup społecznych narodu.

Dla większości olbrzymiej obywateli narodu polskiego, dla istotnej demokracji polskiej niemieckie wino jest kwasem pruskim i stanęłoby kością w gardle. Dla niej to kwestja godności.

Dla ugodowców i endecji (w olbrzymiej większości wypadków—tym razem wyjątkowo nie) to kwestja polityki.

Polityka tych odłamów dąży do zdobycia siły za wszelką cenę. Siłę można zdobyć w drodze dwojakiej: bądź skaptowania opinii społecznej mocą siły przekonania, bądź steroryzowania jej demagogją, albo też przez zaskarbienie sobie łask rządu.

Jakoż mimo postępu wieku wpływy dynastyczne w układzie czynników państwa współczesnego odgrywają dosyć znaczną rolę. Widzieliśmy to z przebiegu wojny bałkańskiej. Uprzywilejowane klasy społeczne szukają tedy swej racji stanu w zbliżeniu z koroną.

Jestto ich naturalna tendencja polityczna przejawiająca się najjaskrawiej w okresie wielkiej rewolucji francuskiej, tendencja przeważnie antypatrjotyczna i antydemokratyczna. Emigranci francuscy nie wahali się sięgnąć po pomoc króla pruskiego przeciw własnej ojczyźnie. Lud krwawo pomścił ich akcję jako niemoralną i jawnie szkodliwą.

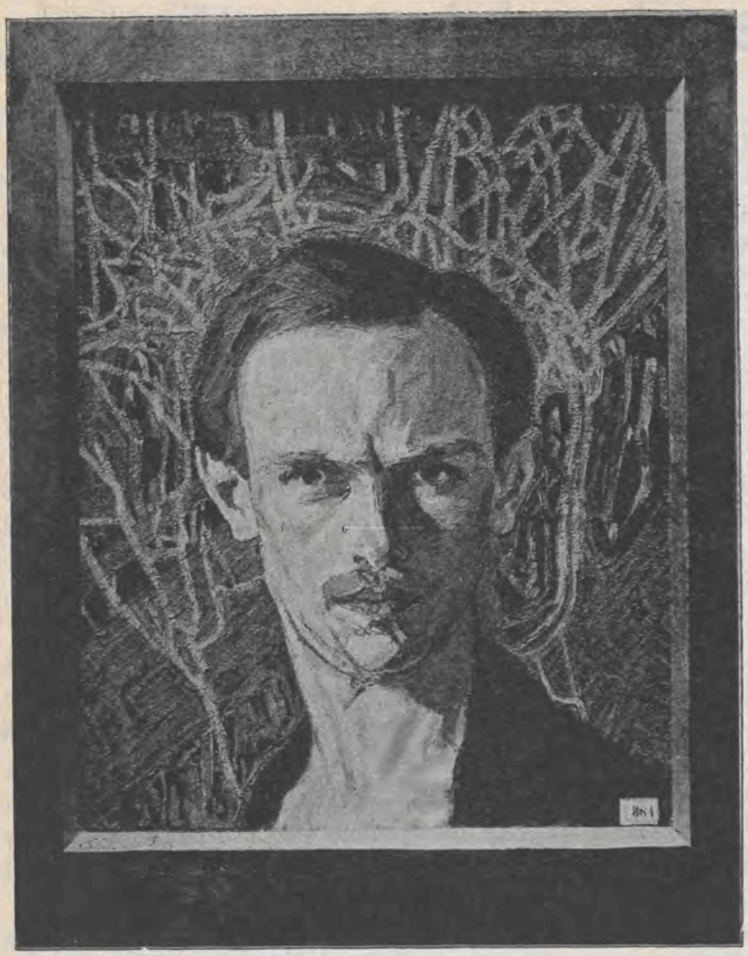
O wystąpieniu polskich ugodowców w Poznaniu, da się powiedzieć tylko tyle, iż jest ono *niemoralnem* pod kątem widzenia większości. Aliści czyż można było spodziewać się, by klasa najbardziej zblazowana i zdegenerowana zdobyła się na inne pojęcia o godności narodowej i osobistej? Wystąpienie to może wydawać się skądinąd pożytecznem, może przynieść jakieś „realne korzyści“ jak np. odroczenie wywłaszczenia.

Tym, którzy na ugodowców poznańskich najbardziej piorunują należałoby przypomnieć ich własną taktykę: polowania na drobne korzyści realne, kompromisy z nacjonalizmem rosyjskim i t. d.

Dziś ci nasi warszawscy kondotjerzy oportunizmu narodowego są pomawiani o doktryneryzm. Śmieszna historja zaprawdę! Kocioł garnkowi przygania, a sam... jakże krótką ma pamięć!

Kto wie czy stanowisko p. Chłapowskiego nie ma więcej sensu, niż np. taki telegram hr. Tyszkiewicza z powodu śmierci Pichny.

Tamci wiedzą czego chcą i składają smutne dowody odwagi wobec własnego społeczeństwa, tu działa zwykła obojętność i nierozum.



Bronisław Bartel. Studjum.

Nie wiadomo, co lepsze!

Rozsądnie myśląca część społeczeństwa polskiego na tych, którzy piją wino na zamku oburzać się nie będzie. Ona" poprostu nie chce ich znać. Nie chce z nimi mieć nic wspólnego. Wszelkie do nich pretensje są zbędne i nieumotywowane. Czyż nie jest zupełnie jasnem, że ci lu dziepo to, by przynieść ochłap z pańskiego stoła dla polskości z polskością tą zerwali, że istota charakteru tych ludzi się nie zmieni, że jakimi byli takimi są i będą...

Oburzają się głównie ci, którzy jutro w imię prawa do życia będą popełniali te same błędy w innej formie.

Treść pozostanie ta sama, dla większości społeczeństwa zupełnie obca.

Jerzy Jankowski.

Z wystaw Zachęty.

Ruch artystyczny w lecie oczywiście słabszem bije tętnem, niż w t. zw. pełnym sezonie. Wyjechała bowiem na letnie wywczasy ta część publiczności, która zwiedza zwykle wszystkie wystawy sztuki; bawią na studjach przyrody na wsi prawie wszyscy nasi artyści; pomimo to, jednak nie można jeszcze mówić o stagnacji w sztuce. Zamiast bowiem tych, którzy przeważnie tylko zwiedzają, przesuwa się teraz po wystawach więcej takich, którzy kupują obrazy. Być może, że wpływa na to w pewnej mierze i ta okoliczność, że artyści w lecie więcej skłonni są do ustępstw, przeważnie jednak zakupują obrazy przejezdni z prowincji oraz swojscy i obcy „kunsthändlerzy". W każdym razie ruch sprzedażny dzieł sztuki jest w lecie dość ożywiony; wystawy zmieniają się dość często; miejsce wyprzedanych obrazów zajmują niebawem inne, i w takich warunkach też łatwiej przychodzą do głosu młodsi artyści, którzy w oficjalnym salonie, w Zachęcie, nieraz dość długo czekać muszą na miejsce.

Obecnie nastąpiła w Zachęcie częściowa zmiana dawniej otwartego salonu letniego. Jedną salę poświęcono na pokaz dzieł przeznaczonych do rozlosowania dla członków Towarzysta Zachęty, w innej urządzono wystawę dość znacznej ilości prac ś. p. prof. Jana Stanisławskiego i obok dwuch sal, zajętych przez dawniej już wystawione obrazy, oddano także całą jedną salę do zbiorowego występu kilku młodszym artystom. Wśród tych nowowystawionych obrazów, zwraca na siebie szczególniejszą uwagę większa kolekcja prac Bronisława Bartla, a przedewszystkiem cykl jego obrazów „Maskarada w Łazienkach", zrobionych na sposób wycinanek ludowych z kolorowych papierków. Że sztuka ludowa dostarczyła artystom dużo motywów i nowych środków wypowiedzenia się, jest rzeczą wiadomą, pomimo to jednak, patrząc na obrazki Bartla, doznajemy pewnego przyjemnego zdumienia, jak za pomocą tak prostych środków, jednokolorowych płaszczyzn i linji, wydobyć było można tak świetne efekty kolorystyczne i tak żywą grę świateł i cieni. Przytem i sam pomysł jest wcale ciekawy. Główny obrazek, przedstawiający maskaradę na tle pałacu i parku łazienkowskiego jest bardzo dekoracyjnie pojętą kompozycją rodzajową; a w szeregu innych, pomniejszych, widzimy jakby na „gorącym uczynku" pochwycone momenty psychologiczne, o tematach: flirt, adoracja, zalecanki, natrętny błazen, zdemaskowani. Bronisław Bartel już kilkakrotnie wystawiał w Zachęcie przeważnie krajobrazy i autoportrety. Wystawił też i teraz

kilka krajobrazów, pomiędzy któremi szczególnie „Kwiat szronu“ i „Śnieg“ wyróżniają się jako dzieła niewątpliwego talentu, dobrze skomponowane w linjach i kolorze o silnem natężeniu światła. Ten jednak cykl jego obrazków, przedstawiający maskaradę w Łazienkach, jakoteż w sposób nowożytny pojęty i przedstawiony obraz dekoracyjny „Chrystus“, wskazują wyraźnie, że przyszłość artysty tkwi właśnie w dekoracji i w tym kierunku — malarstwa dekoracyjnego — powinien też podążać.



Bronisław Bartel. „Śnieg“.

Kazimierza Hollera znaliśmy dotąd tylko z aktów bardzo sumiennie opracowywanych, niekiedy nawet dość ciekawych, ale czasem też i trochę niesmacznych, w każdym razie nieuwydatniających w całej pełni tego piękna, jakie wydobyć można z ciała ludzkiego w sztuce. Teraz wystąpił z pracami w innym kierunku, wystawił mianowicie „Kwiaty“ — róże na tle liści paproci — bardzo ładnie skomponowane w kolorze i dekoracyjnie stylizowanej linji oraz kilka krajobrazów, w których koloryt wprawdzie jeszcze trochę jest surowy i mało przesycony powietrzem, lecz w którym widać dość intensywną koncentrację myśli malarskiej w kierunku syntetycznego ujmowania wrażeń i nastroju przyrody.

Z. Żelisławski widzi świat w ciemniejszej gamie gamie świateł, niż może jest w rzeczywistości, szuka nastrojów więcej nokturnowych, jednakże trudno odmawiać mu racji, gdy i krajobrazy jego dobrze są namalowane i wcale zajmujące, jako pogłębione studja przyrody. W typach zaś jego ludowych znać wybitne zdolności do charakteryzacji i umiejętność rysunku. Nie będę omawiał madon wiejskich Vlastimila Hofmana, prac Kędzierskiego, Rapackiego, Popowskiego i innych, już dawniej wystawionych; na zakończenie wstąpmy jeszcze tylko do sali Stanisławskiego. Trudno to nazwać wystawą zbiorową, gdyż brak w niej najwybitniejszych prac tego niezrównanego mistrza kolorytu, jednakże nieprędko pewnie będziemy już mieli sposobność oglądać tak bądź co bądź licznie zebraną kolekcję oryginalnych dzieł jego. Należy więc skorzystać z tej sposobności, by zapoznać się ze sposobem pojmowania przyrody i technikę malarską mistrza, który na dzisiejsze pokolenie artystów, a w szczególności pejzażystów polskich, wywarł wpływ tak przemożny i decydujący.

Feliks Lubierzyński.

Nasze uzdrowiska.

CIECHOCINEK.

II.

Czy wiesz czytelniku, co to jest *artretyzm?...*

Zmora, która żyje z tobą i w tobie, żelaznym uściskiem chwyta za serce, dławi krtań, szarpie wszystkie mięśnie i nerwy, zaplugawia krew, łamie kości, pogrąża ducha w otchłań zwątpienia i śmiertelnego lęku, mgłą bezbrzeżnej rozpaczy zasłania oczy, pokrywając kirem żałoby dziś, jutro, a może i na zawsze, wszystko to, co wczoraj jeszcze śmiało się do ciebie szczęściem i weselem!...

To jest artretyzm.

Lekarz zaleca natychmiastowy wyjazd z Warszawy. Radzi Ciechocinek.

— Jedź pan do Ciechocinka, — mówił. — Uzdrowisko pierwszorzędne, wszelkie warunki lecznicze bez zarzutu, więc po co wywozić grosz do badów zagranicznych?

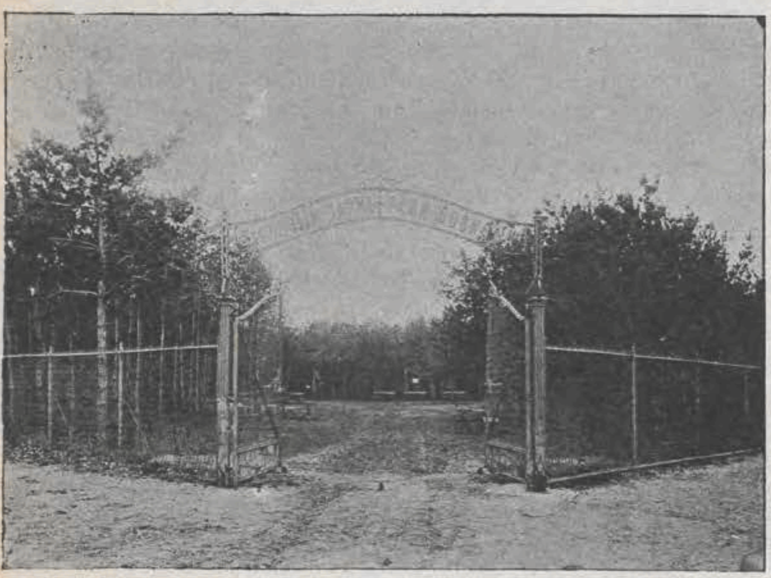
— Doskonale! A kiedy mam jechać, panie doktorze?

— Natychmiast! — odpowiada dr. Anastazy, znany przyjaciel wszystkich cierpiących, a wróg zawzięty i nieubłagany tępiciel artretyzmu i innych wyników lekkiego i wesołego życia, albo też naodwrót, ciężkiej i nadmiernej pracy. Bo bywa i tak. Dziesiątki lat, dni i noce, ślęczysz nad biurkiem, a gdy ci na starość bolesny bezwład wytrąca już pióro z ręki, masz właśnie, jako już „wytrawny znawca“, napisać „garść wrażeń“ o... artretyzmie i Ciechocinku.

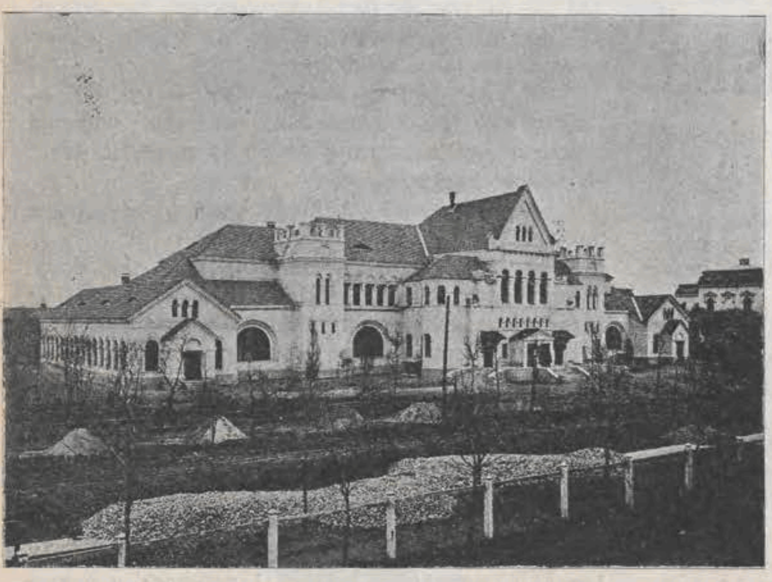
Więc posłuchałem rady doświadczonego lekarza i zgnębiony bólami i niemocą uciekam



Ciechocinek. Gmach Zarządu.



Ciechocinek. Wejście do parku sosnowego.



Ciechocinek. Łazienka № II.

z domu, a przeklęty artretyzm nie opuszcza mnie ani na chwilę, wciąż jest ze mną. Okropny, straszny towarzysz!

Wyjeżdżam z Warszawy w piękny, słoneczny dzień i już cieszę się nadzieją, że nareszcie pogoda się ustali. To przecież dla nas, artretyków, połowa powodzenia kuracji. Piękna pogoda sprzyja nam aż do Aleksandrowa, ale tu, jakby na jakieś złowróżbne powitanie, ciemne chmury zasłoniły nagle cały horyzont, ozwały się grzmoty, a wśród krzyżujących się błyskawic, polały się deszczu potoki...

Na dworcu ciechocińskim ścisk, krzyk, rwetes. Tłumy tu zjechały, a obsługi stacyjnej mało. Kręci się tylko moc pośredników i kilku opasłych, w czerwonych czapkach posłańców. Każdy proponuje swoje usługi: odniesienie rzeczy, wskazanie dobrego mieszkania, lekarza i t. d.

Mnie chodzi o mieszkanie. Rozglądam się po poczekalni dworca i spostrzegam na ścianach, tuż obok kasy biletowej, dwa wielkie szyldy, a na każdym z nich jednobrzmiące napisy: „Biuro informacyjne wolnych mieszkań w osadzie Ciechocinku".

Odetchnąłem. No, nareszcie,— pomyślałem, — uwolnię się od pośredników, przed którymi już mnie ostrzegano. Ale chwila radości była krótka — „biura informacyjnego wolnych mieszkań" już niema na dworcu, zamknęli je... przed rokiem.

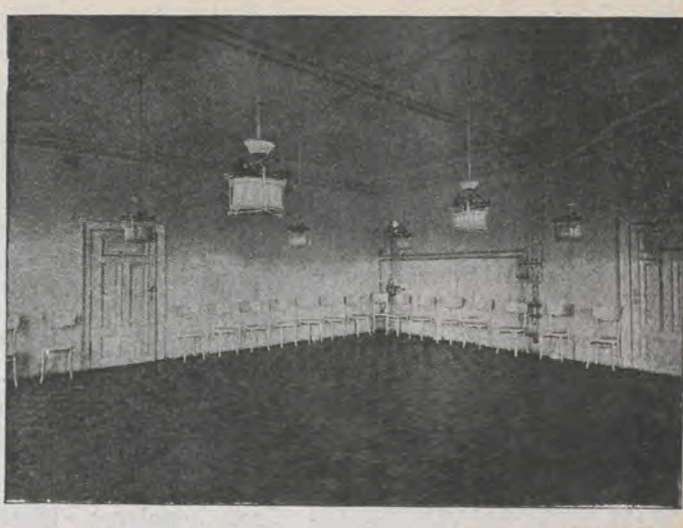
Dlaczego jednak dotąd niema w tak ruchliwej miejscowości kuracyjnej podobnego biura, to zagadka, jak i wiele innych, rzucających się tu w oczy na każdym kroku.

Dlaczego np. niema w Ciechocinku dobrej jadłodajni, naprawdę djetetycznej, zastosowanej do potrzeb chorych? W kilku zaledwie pierwszorzędnych pensjonatach prywatnych dają jeść zdrowo i smacznie, przeważna większość— to pospolite garkuchnie, które, pomimo szumnego ogłaszania się, że „dania ściśle zastosowane do wskazówek Sz. pp. doktorów", — trują jednak tak, że jeść niepodobna, choć za skromny obiad każą sobie 75 kop. płacić. Nie licząc restauracji hotelowej i parkowej oraz kilku renomowanych już pensjonatów prywatnych, na bardzo dodatnie wyróżnienie zasługuje jadło-

dajnia „Belweder“, do której zjeżdżają i gospodarują przez lato wychowanki Stowarzyszenia sług katolickich z Warszawy. Obiady w „Belwederze“ smaczne, czystość idealna, usługa szybka i grzeczna. Cena za obiad w abonamencie 60 kop., niższa więc od „solankowych“, t. j. chciałem powiedzieć stałych, ciechocińskich.

Mleczarni specjalnej, t. j. takiej, w której o każdej porze dnia dobrego mleka dostaćby można — niema tu wcale. A przecież brak to niezmiernie dotkliwy, bo kuracjuszom ciechocińskim lekarze, jako jeden z niezbędnych pokarmów zalecają mleko, zsiadłe zwłaszcza.

Do szeregu dotkliwych braków zaliczyć trzeba również brak dobrej pralni, a przy kąpielach ciechocińskich bielizny zużywa się moc.



Ciechocinek. Inhalatorjum.

Handel miejscowy drobny i ubogi. Liczne sklepiki w t. zw. Bazarze—to jarmarczne kramy z podłą tandetą niemiecką, zdobną suto w złocone napisy „polskie“, w rodzaju: „Czechotschynek“ albo „Dobra notz!“

Lekarze zalecają chorym owoce, a tu w kilkunastu zaledwie, rozrzuconych bezładnie, tonących w błocie budkach, sprzedają najlichszego gatunku owoce, wszystko odrażająco brudne.

Zapomniałem o mieszkaniach, a to przecież w uzdrowiskach sprawa pierwszorzędnej wagi. Otóż, na ogół, mieszkania są dobre, a zwłaszcza w niektórych nowszych willach w okolicy kościoła, wzdłuż ulic Suchej, Komitetowej, Wysokiej, Nieszawskiej i t. d. Niektóre urządzone z pewnym nawet komfortem, za który jednak drogo płacić trzeba.

Z instytucji dobroczynnych i społecznych Ciechocinek posiada: własne Tow. dobroczynności, Warsz. kolonie letnie im. Wawelberga, Bratnią pomoc, Warsz. Tow. dobrocz., Szpital św. Tadeusza, Gniazdo Tow. opieki nad dziećmi, Ochronę dla dzieci i Gospodę dla chorych włościan, Gniazdo dla dzieci skrofulicznych, Tow. pożyczk. oszczędnościowe, Tow. przyjaciół Ciechocinka i straż ogniową ochotniczą.

Organem Ciechocinka są dobrze redagowane przez p. Ambroziewicza „Nowiny Ciechocińskie“, wychodzące co tydzień, jako dodatek do „Dziennika Kujawskiego“.

Rozrywek i widowisk tu nie brak. Więc teatr, w którym p. Klimontowicz, obok krwawych tragedji daje i słone operetki; iluzion, gdzie p. Paweł Raszek z Warszawy karmi dzieci „dydaktycznymi“ pokazami „Dzieci Paryża“; jest orkiestra w parku, która, niestety, w tym sezonie nie potrafi jakoś zadowolnić wymagań słuchaczów; są reuniony zakładowe, bardzo licznie uczęszczane; mają powodzenie zebrania towarzyskie, organizowane przez Tow. przyjaciół Ciechocinka i „bal zdrojowy“, jak tu mówią „clou“ sezonu. Sport w Ciechocinku kwitnie: tennis, football, kręgielnia, krokiet, jazda na rowerach, wioślarstwo, gimnastyka, szermierka. Dla piechurów zbiorowe wycieczki do Odoljonu, do Raciążka, Nieszawy i t. d.

Czytelnia zakładowa w galerji spacerowej obfituje w dużą ilość pism perjodycznych, a że mieści się w wygodnej i widnej sali, więc prawie zawsze w niej pełno.

Dając tę skromną garść wrażeń moich z Ciechocinka nie mogę pominąć milczeniem „sezonowych“ żebraków tutejszych. Gdzie się obrócisz — żebrak. Od wczesnego ranka do późna wieczór zajmują oni stale swoje posterunki, żebrząc natrętnie. A jakie wśród nich kaleki, jakie okropne okazy wybryków natury i zwyrodnienia!...

Każdy pragnąłby z serca dać biedakowi jałmużnę i, jak ma, to daje, ale w miejscowości takiej, jak Ciechocinek, gdzie prawie każdy z kuracjuszów niezależnie od cierpień fizycznych, cierpi i moralnie, jest przygnębiony, zdenerwowany—tam widoku tych nieszczęśliwców oszczędzać mu trzeba.

Do Ciechocinka zjeżdża corocznie przeciętnie 15,000 kuracjuszów, — zaręczam, że każdy chętnie uiści z góry rubla, dwa albo i więcej nawet, aby tylko uwolnić się od konieczności oglądania tego ruchomego panopticum nędzarzy i żywych trupów.

A z ofiar, składanych tą prostą drogą,—np. w chwili przyjmowania wpisowego w kancelarji zakładu, — możnaby, corocznie, zebrać z łatwością kilkanaście tysięcy rubli na koszty utrzymania stałego przytułku dla istotnie potrzebujących pomocy żebraków.

Rzucamy myśl.

Feliks Kwaśniewski.

TEATR

Teatr Mały. — „Złote czasy."

Teatr Mały rozpoczął sezon zimowy komedją Witolda Bunikiewicza p. t. „Złote czasy". Wszystko odgrywa się tam w dobrych i dawnych czasach, chronologicznie bliżej nieokreślonych, stanowiących zogniskowanie najprzeróżniejszych motywów naszej przeszłości. W trzech aktach rozwija się z trudem akcja zbyt prosto-linijna i mało urozmaicona. Widać, że autor nie zna dobrze sceny, że błądzi jeszcze poomacku. Ale język „Złotych czasów" jest piękny, jest przedziwnie kunsztowny, jest niby filigranowy sprzęcik, kruchy i subtelny. Rozkosz słuchania poetyckiej mowy „Złotych czasów" stokrotnie wynagradza usterki scenicznej struktury, upaja i kołysze, jak stara prowansalska piosenka, budzi słodkie wspomnienie z nocy miłosnych uniesień i tęsknot. Zewnętrzna oprawa sztuki sprawiła przykrą niespodziankę. *J. A.*

Teatr Popularny.—Marja Stuart.

W świetnie prowadzonym teatrze Popularnym przy Stow. robotników chrześcijańskich, wystawiono tragedję Schillera p. t. „Marja Stuart". Artyści pod wprawnem kierownictwem p. Józefa Popławskiego, grali z przejęciem i siłą i dowiedli, że stanowią zespół karny i doskonale z sobą zgrany. P. Szymańska w roli tytułowej wykazała dużo uczucia i głębokiego wniknięcia w tragiczną postać nieszczęśliwej królowej. *j. a.*

W poprzednim numerze naszego pisma, w opisie Ciechocinka, mylnie podaliśmy nazwisko pani Heleny Prawdzic-Kuczalskiej, właścicielki pensjonatu „Zachęta".

OD REDAKCJI.

Następny numer „Złotego Rogu" (№ 37) poświęcony będzie szkolnictwu polskiemu.



Irena Bucholtzówna. **Studjum.**

(Z salonu paryskiego).



OTWARCIE SEZONU.

W końcu sezonu ubiegłego nad teatrami polskiemi w Łodzi zawisła chmura niepewności. Teatr popularny, świetnie prowadzony przez parę lat i cieszący się wielkiem powodzeniem, stanął na rozdrożu, gdyż kierownik jego, p. Mielewski, zaangażowany gdzieindziej, opuszcza niezmiernie ważną placówkę kulturalną. Oczywiście, przypuszczano, że ustąpi także jego energiczny towarzysz, kierownik administracyjny, p. Bolesławski. Teatrowi popularnemu groził więc upadek zupełny. Teatrowi polskiemu przy ul. Cegielnianej nie wróżono również nic pomyślnego. Ostatni rok nie należał do pomyślnych, ani pod względem artystycznym, ani materjalnym. Poziom repertuaru zniżył się znacznie i zubożał; personel stosunkowo nieliczny, był przepracowany, śród artystów głodnych zapanowało zniechęcenie, w końcu zaś wynikł bardzo przykry zatarg pomiędzy personelem aktorskim a kierownikiem oraz Towarzystwem teatralnem.

Zatarg ten odbił się głośnem echem w prasie, a publiczność stanęła po stronie aktorów. Ostatnim przedstawieniom groziły nawet skandale, które w końcu zażegnano. Aktorowie wykazali niebywałą wytrwałość na głód. Otrzymywali swoje gaże groszowemi ratami, lub nawet po parę miesięcy wcale nie otrzymywali. Po usilnych zabiegach zdołano jako tako ich słuszne roszczenia załagodzić kilkoma przedstawieniami, wyłącznie na ich korzyść. Po zamknięciu sezonu gromadka ta rozbiegła się pozostawiwszy w Łodzi niepewność losów teatru i niewiarę w owocność pracy Towarzystwa teatralnego.

W ciągu paru miesięcy ostatnich nic nie było wiadomo, co się stanie z teatrami polskiemi w Łodzi, jakie losy ich czekają. Gdy oto nagle rozeszła sie pogłoska, że kierowink obu teatrów obejmuje dawniejszy kierownik administracyjny Teatru popularnego, p. Bolesławski. Przy tem następują znaczne reformy. Teatr popularny traci całkowicie swój charakter dawniejszy. Dramat i komedja ustąpiły tam miejsca całkowicie operze i operetce. Teatr polski przy ul. Cegielnianej poświęcony jest wyłącznie dramatowi i komedji. Ale publiczność, dla której Teatr popularny był dostępny i do którego ona tłumnie uczęszczała, będzie miała także dostęp do Teatru polskiego. Ceny w nim będą trojakie: we czwartki — podwyższone (premjerowe), we wszystkie dni tygodnia te same, jakie były w Teatrze popularnym (od 20 kop. po 1 rb. 20 kop. Loża 3 rb. 60 kop.). W soboty zaś po południu ceny najniższe (wszystkie krzesła po 30 kop., balkony i amfiteatr po 20 kop., miejsca w loży 50 kop.). Tym sposobem Teatr polski połączy w sobie zadania dwu teatrów poprzednich. Nadto zaś scena polska wzbogaca się jeszcze operą i operetką. Tak więc te bardzo ważne polskie ogniska kulturalne rozszerzają się znacznie i będą mogły śród licznych rzesz ludności szerzyć wpływ bardzo dodatni. Teatry polskie w Łodzi, to nie przedsiębiorstwa spekulacyjne, to nie przybytki dla tych, którzy nie wiedzą, co mają z czasem zrobić, szukają rozrywki. To niezmiernie ważne placówki kulturalne, źródła demokratyzacji sztuki, strawa duchowa dla warstw szerokich, którym warunki społeczne i ekonomiczne nie pozwalają korzystać z innych zdobyczy i urządzeń kulturalnych.

Bo zresztą w nieszczęsnej Łodzi jest ich bardzo mało. Natomiast jest mnóstwo takich przybytków i rozrywek, które, będąc przedsiębiorstwem czysto spekulacyjnem, opierają swe powodzenie na najgrubszych instynktach, na upodobaniach wulgarnych, na zepsuciu i słabościach ludzkich. Warstwy pracujące nie mają gdzie spędzić pożytecznie i przyjemnie godzin wolnych od pracy i wypoczynku. Stoją otworem dla nich: knajpy z dziką muzyką; dla nieco zamożniejszych—kabarety podrzędne. Nadto, na warstwy jaknajszersze są obliczone kinematografy, które chyba nigdzie tak bujnie nie rozrosły się jak w Łodzi. Program tych najnowszych, a nawiasem mówiąc, wcale nie tanich przybytków „sztuki", jest właśnie obliczony na najgrubsze instynkty, a nawet dążą do rozbudzania ich tam, gdzie jeszcze one drzemią wgłębi.

Tym sposobem Łódź, która patrzy bardzo często na realną ohydę życia, musi ją oglądać w efektownem spotęgowaniu jeszcze w kinematografach, podnoszonych w silnie reklamowych sprawozdaniach i wzmiankach pism do poziomu „teatrów"!

W takich warunkach utrwalenie bytu teatrów polskich w Łodzi oraz postawienie ich na poziomie, odpowiadającym istotnym potrzebom kulturalnym ludności, jest zadaniem pierwszorzędnej wagi, a kto na swoje barki te zadania wkłada, bierze zarazem ogromną odpowiedzialność moralną. O ile zaś czuje się na siłach zadania te dźwigać, o ile potrafi wytrwać, będzie zaliczony do najpożyteczniejszych i bardzo zasłużonych pracowników społecznych.

Przypuszczamy, że p. Bolesławski, człowiek energiczny, wytrawny, doświadczony, który zdołał dostatecznie poznać publiczność łódzką, warunki bytowania, potrzeby kulturalne szerokich

warstw, który miał wyborną sposobność poznać, jakiego rodzaju repertuar stał się już nieodzowną potrzebą szerokich mas ludności, — że taki człowiek pełen wiary, sił i najlepszych chęci, potrafi swoje szeroko nakreślone plany w czyn wprowadzić i uczynić z obu scen polskich prawdziwe ogniska kulturalne.

Teatr polski, rozporządzający lepszem urządzeniem widowni i sceny, lepszemi środkami technicznemi, wywiąże się nawet lepiej ze swego zadania niż w latach poprzednich Teatr popularny. Nadto, scena Teatru popularnego da Łodzi to, czego on nie miała: operę i operetkę, które dotąd w Łodzi były tylko przelotne, jako widowiska kilkudniowe.

O ile możemy wnosić, kierownik będzie dążył do postawienia na naczelnem miejscu utworów polskich, najpiękniejszych. Jakoż na otwarcie sezonu dał „Halkę".

Personel Teatru popularnego (opery i operetki jest dość liczny — około stu osób). Śród śpiewaków i śpiewaczek są świeże, niezużyte siły, które mają przed sobą perspektywę rozwoju talentu.

Teatr polski posiada również dość liczny personel. Na otwarcie sezonu dano piękną, z siłą napisaną sztukę Staffa: „Wawrzyny".

Połączenie obu teatrów polskich pod kierunkiem jednego człowieka może jest zadaniem bardzo ciężkiem, ale taka kombinacja ma wiele stron dodatnich: znika współzawodnictwo, które w latach poprzednich przybierało nieraz formy gorące, a niekiedy nawet oddziaływaływało ujemnie na interesy obu teatrów. Usunięcie tego czynnika zwłaszcza na specjalnym gruncie łódzkim, jest faktem wielce dodatnim.

Teraz trzeba pamiętać o tem, że powodzenie teatrów polskich w Łodzi zależy nietylko od umiejętnego kierownictwa, doboru sił i odpowiedniego poziomu repertuaru, ale także od publiczności. Im tłumniej będzie ona uczęszczała do obu teatrów, tem mocniejsze będą podstawy scen polskich.

Zenon Pietkiewicz.

Rozwój komunikacji.

Łódź w najważniejszych sprawach jest zależna od Piotrkowa. Władze gubernjalne i sądowe, umieszczone w małej mieścinie w porównaniu z miastem liczącem pół miljona ludności, tworzą wprost potworną anomalję, że najpilniejsze, najbardziej powikłane sprawy opierają się o to niewielkie ognisko dość znacznie odległe od Łodzi. Już kiedyś pisaliśmy na tem miejscu, jak dalece paraliżuje to wszelkie interesy wezbranego życia, które pozatem jeszcze jest wielce krępowane, nawet w drobnostkach, brakiem samorządu i wszelkiej samodzielności, co sprawia taki osobliwy stan rzeczy, że niemal każdy drobiazg opiera się o Petersburg, a na załatwienie spraw pilnych, naglących, niecierpiących zwłoki, nieraz trzeba czekać po pół roku i dłużej.

Wędrówki zaś osobiste setek interesantów do Piotrkowa pochłaniają mnóstwo pieniędzy i czasu.

Otóż Łódź doczekała się przynajmniej jednej ulgi: telefonu do Piotrkowa. Tym sposobem wiele spraw, które wymagały wędrówki osobistej, można będzie załatwiać wprost z miejsca. Chodzi tylko o to, ażeby ze względu na wyjątkowe znaczenie i zadanie telefonu Łódź-Piotrków, były pobierane opłaty względnie nieduże, nie krępowane ściśle trzema minutami rozmowy. Linja telefonu idzie przez Tomaszów. Proponowana jest opłata za rozmowę trzyminutową pomiędzy Łodzią a Piotrkowem 50 kop.; pomiędzy zaś Łodzią a Tomaszowem 30 kop. Otóż stanowczo opłatę taką należy uważać za wysoką. Ze względu na dość zawiłe sprawy, wymagające niejednokrotnie długich wyjaśnień i kilkakrotnego powtórzenia w razie niedostatecznego działania telefonów, opłata powinna być obliczana na zupełnie innych zasadach i niewątpliwie pod względem dochodowym linja zyskałaby na tem bardzo dużo.

Mówiąc o rozwoju komunikacji telefonowej międzymiejskiej, musimy zaznaczyć jeden fakt znamienny. Od paru lat istnieje już połączenie telefonowe pomiędzy Skierniewicami a Warszawą oraz Skierniewicami a Łodzią przez Łowicz. Dotąd jednak wolno rozmawiać tylko w jedną stronę: ze Skierniewic do Warszawy. Tymczasem zaś bez względu istnienia linji i aparatów, rozmowa pomiędzy Skierniewicami a Łodzią nie jest dopuszczalna, pomimo że Skierniewice łączą z Łodzią liczne interesy handlowe. Czyżby telefony międzymiejskie na otwarciu tej komunikacji miały ponieść stratę. Rachuby i motytywy wprost dla nas są niepojęte. Wszakże dziś Łódź ma połączenia telefonowe już z ogniskami drobniejszemi, nawek z folwarkami. Wieś pokrywa się coraz gęstszą siecią telefonów, stosunki wzajemne ożywiają się coraz bardziej. Dlaczegoż więc nie można otworzyć komunikacji tam, gdzie już nie potrzeba ponosić prawie żadnych kosztów, a gdzie można mieć niewątpliwy zysk? A może to są potrzebne memorjały lub podania, zaopatrzone w przepisaną ilość marek odpowiedniej wartości? Warto, ażeby ci ludzie, dla których ta sprawa nie jest obojętną, postarali się ją zbadać dokładnie.

Byłoby pożądane, ażeby z odpowiednią opinją i interpelacją w tej sprawie wystąpił łódzki komitet giełdowy, którego głos przecież pod wielu względami ma znaczenie i nieraz bywa brany pod uwagę przez sfery i instytucje właściwie.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza. — **Łódź, Inżynierska 1.**

Femina



PÓŁSEZON JESIENNY.



Nasz przysłowiowy „złoty wrzesień“ tradycyjnie piękny, opromieniony blaskami kończącego się lata, ozłocony cudnemi barwami pożółkłej zlekka zieleni, z całym bogactwem dorocznych plonów, z całą sumą ziszczonych nadziei rolników, bywa zwykle miesiącem miłym i radosnym. Ubiegłe opłakane zadeszczone lato, wywołało u nas niestety prawie klęskę urodzajową, żniwa odbyły się w najgorszych, najuciążliwszych dla ziemian warunkach. Całą nadzieję położono o-





Kapelusze jesienne.

becnie w pogodnym wrześniu, zechce on może utrzymać swoją latami ustaloną sławę, darząc nas pięknem jesiennem słońcem, którego przez lato mieliśmy tak mało...

Dla miast naszych z Warszawą na czele nadeszła chwila powrotów z letnich wywczasów, z miejsc kuracyjnych, z nad brzegów morza i t. p. Skończyły się wakacje żon, dzieci i... mężów, wygasłe ogniska odradzają się z popiołów, minęły piękne dni barów, restauracji i kabaretów, mężowie zasiadają znowu przy rodziny stołach, z czasów słomianego wdowieństwa pozostały im zaledwie ciche, niejasne wspomnienia... wszystko powoli wraca do zwykłego porządku wchodzi w zwykłą kolej, w zwykły tryb codziennego życia. O tych dorocznych powrotach, dałoby się bardzo wiele powiedzieć, bo bardzo różnie dla różnych przedstawiają się ludzi... Temat to jednak tak często obrabiany, komentowany na wszystkie sposoby, że niewiele przedstawia nowych punktów obserwacji. „Wszystko to już było“ i wiecznie powtarzać się będzie, bo wszak „niema nic nowego pod słońcem“, jest tylko czasem nowe oświetlenie tych samych psychologicznych objawów, zależnych od indywidualnych warunków. Przy rodzinnej zgodzie i harmonji, powrót taki — zapoczątkowanie chwilowo przerwanego wspólnego życia jest miłem i pożądanem, w razie przeciwnym jest to nowa serja przykrości, nieporozumień utrapień bez końca i miary... Oto wszystko.

Chcę wierzyć, Szanowna Pani Czytelniczko, że znajdujesz się w szczęśliwych ze wszech miar warunkach powrotu do swego gniazdka, towarzyszy ci poczucie, „że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej“, żeś zastała wszystkich i wszystko po myśli i sercu i że z ochotą przystępujesz do rozlicznych zajęć jakie cię po powrocie czekają. —

Oczywiście przedewszystkiem dom, doprowadzenie mieszkania do zwykłego wzorowego porządku... a następnie jeneralny przegląd garderoby, boć to zmiana sezonu, zbliżająca się jesień, a tem samem konieczność ułożenia tualetowego planu, zastosowanego do wymagań i budżetu. Przedstawia to, zwłaszcza przy warunkach średnich, a jednak eleganckich spore trudności, z których trzeba jednak wyjść zwycięzko, to jest tak, żeby organizacja tualetowa zapewniła dostateczną amunicję a nie przekroczyła wyasygnowanej na nią sumy. Na tem właśnie polega cała tualetowa mądrość kobieca. Trzeba koniecznie unikać deficytu, bo on zatruwa spokój i wytrąca z życiowej równowagi.

A więc przedewszystkiem jak to wspomniałam musi nastąpić szczegółowy przegląd posiadanego materjału. Letnie sukienki, to jest; muślinowe, pikowe i t. p.—trzeba ładnie ułożyć do kufrów lub koszy, bo ich się *już we wrześniu* pomimo możliwego ciepła *nie nosi*. Elegancka pani zupełnie letniej sukni we wrześniu u nas na ulicę nie kładzie. Fular lub jakiś lekki jedwab, jest jeszcze odpowiedni, i właśnie takie letnie suknie doskonale teraz stosować można, sprawiając jaknajszybciej bluzę, tak zwaną *aeroplan* (z szerokiemi rękawami od pasa) i dosyć długą baskinę z materjału zwanego *velour frappé* to jest w duże aksamitne kwiaty lub arabeski *en relief* na gładkiem tle. Taka bluza kładzie się do lekkiej jedwabnej lub wualowej spódnicy na spodnią batystową bluzeczkę jest to bardzo ładne, eleganckie i praktyczne spacerowe ubranie na wrzesień. Do tego epidemicznie modna rusza t. z. *tour du cou* z piór strusich, czarnych, popielatych lub białych. Niewielkim względnie kosztem jest się dobrze i właściwie ubraną. Gwałtownie trzeba myśleć o kapeluszu, bo choć *we wrześniu* letni kapelusz nosić *jeszcze można*, ale właśnie teraz *półsezonowy* ładny kapelusik, jest zaznaczeniem eleganckiego ubrania. Dział kapeluszy zjawia się u nas najwcześniej. Właścicielki pierwszorzędnych magazynów mód kapeluszowych powróciły już z Paryża i poprzywoziły modele zachwycające. Moda okazała się w bieżącym jesiennym i nadchodzącym zimowym sezonie, bardzo logiczną, bo zezwoliła na rozliczne fasony pokrycia głów naszych a więc przeważnie rozmiarów średnich, wysokie i płaskie i zupełnie małe i wiele większe rozlicznie przybierane, z różnych kolorów, z różnych materjałów jednem słowem najmodniejszym obecnie kapeluszem jest ten, w którym nam jest ładnie — do twarzy. Nasze ryciny przedstawiają trzy rodzaje modnych kapeluszy, z różnemi przybraniami. Dodać muszę, że oprócz tych fasonów są jeszcze inne prześliczne. Do zwykłego spacerowego ubrania bardzo ładnie wygląda beret z czarnem aksamitnem rondem a główką z białego *satin duchesse*, na boku fantazyjny kwiat albo aksamitny albo futrzany (bajecznie modny) lub też róża z różnokolorowej materji.

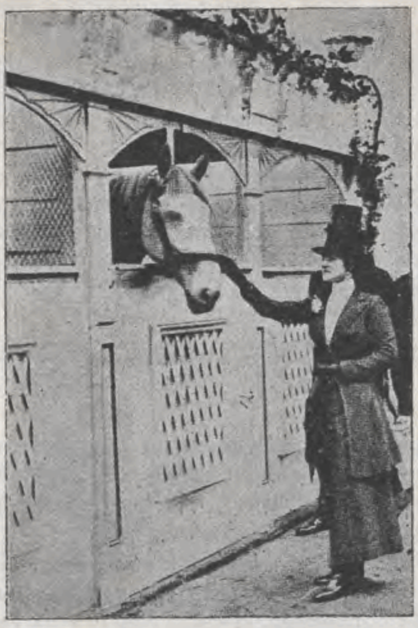
Zdaniem mojem, najmniejszą oszczędność robić można na kapeluszu, który musi być wytworny, choć może być skromny, bez kosztownych piór i egret, ale musi mieć *szyk—markę* — bo to jest podstawą tualety — nadającą jej *la cachet d'élégance*.

A więc Szanowna Czytelniczko—bluza o jakiej wspomniałam i śliczny kapelusz. Następnie trzeba odświeżyć wiosenny kostjum, bo go pani napewno posiada a nosić go jeszcze można gdyż moda znamiennych odmian w tych kostjumach nie zawyrokowała — a na sprawienie koniecznego naszego *munduru* jakim jest kostjum krawiecki, trzeba jeszcze trochę zaczekać aż nadejdą do magazynów naszych modele paryzkie i wiedeńskie, po które nasi wielcy kupcy już pojechali.

Co do innych działów tualetowych—owych strojnych sukien wieczorowych, obiadowych i t. p. oraz futer i okryć jesiennych i zimowych — o tem wszystkiem doniosę szanownym paniom w najbliższych numerach „Złotego Rogu“.

Marcèle.

ELEGANCJA NA WSI.



Ulubiony wierzchowiec.

Mieszkanki naszej stolicy, naszej ślicznej Warszawy, słynnej na świat cały z piękności i zgrabności swych uroczych córek, z ich wytwornego gustu i elegancji, mają z czego być dumne, a nawet chełpliwe. Zdaje im się nieraz, że w kraju naszym, poza obrębem stolicy, kończy się Królestwo Mody, to też z lekkim odcieniem ironji, traktują elegancję prowincjonalną.

Nie ulega wątpliwości, że to jest błędne i niesłuszne—i o tem właśnie postaram się przekonać Szanowne moje Czytelniczki.

Trzeba pamiętać o poszczególnych różnicach, jakie zachodzą w kwestjach tualetowych w stolicy, na prowincji i na wsiach. Odmienne warunki życia, wytwarzają odnośne do tych warunków ubiory i stroje, których ustalenie jest daleko lżejsze i mniej kłopotliwe w wielkiem mieście, aniżeli w miasteczkach prowincjonalnych lub w wiejskich rezydencjach, a to z kilku różnorodnych przyczyn Przedewszystkiem stolica daje łatwość zakupu i roboty, daje wybór wytwarzany konkurencją i odnośne ceny. Miasta prowincjonalne, zamknięte w ciasnych ramach prawie że wyłączności, zmuszają do zakupów sprowadzanego w ograniczonej ilości towaru, właśnie *takiego* a nie innego. To samo z robotą, która na prowincji jest co prawda tańsza, ale niezawsze pierwszorzędna.

To jedno.—Następnie mieszkanka wielkiego miasta nie potrzebuje tak często zmieniać tualet ani spacerowych, ani innych. Dziesiątki tysięcy otaczających ją ludzi i bardzo znaczna ilość znajomych, nie zwraca na jej ubiór tak bacznej uwagi, nie podlega on tak surowej krytyce jak na prowincji, gdzie *wszyscy* się znają i komentują każdy kostjum, każdy kapelusz, każdy nieledwie trzewiczek. W stolicy, paroma balowemi sukniami można zmieniając cośniecoś opędzić karnawał, na prowincji bywając na publicznych i prywatnych zebraniach, trzeba posiadać znacznie większe tualetowe zapasy.

Dla pań mieszkających na wsi — wszystko to przedstawia się w innem świetle. Oczywiście, jak wszędzie i we wszystkiem, na plan pierwszy wysuwają się warunki materjalne. Inaczej ubiera się żona skromnego dzierżawcy, lub właściciela szczupłej ziemskiej posiadłości, obarczonej najczęściej długami, — inaczej można dziedziczka, nie potrzebująca liczyć się z groszem. Poza tem, wieś przedstawia inne życiowe warunki. Znaczna frakcja tualet silnie jest na wsi zredukowaną. Cały dział spacerowy—owe codzienne uliczne mundury, bez których mieszkanka wielkomiejska i prowincji nie może istnieć, na wsi małe zajmuje miejsce; w tym celu dwa kostjumy krawieckie rocznie, zimowy i letni, są dostateczne — to samo z kapeluszami. Za to elegancka pani na wsi potrzebuje zawsze świeżych sukien domowych, tak zwanych *d'intérieur*, różnych szlafroczków, matinek i t. p., bez których w mieście łatwiej obejść się można. Do tego dodać należy tualety staranne — wizytowe, z nieodzownym płaszczem *cache-poussière* w lecie, a piękną *dochą* obszerną i długą, w zimie — strojne wizytowe kapelusze na wsi są zbyteczne, gdyż przyjeżdżając w sąsiedztwo kapelusz najczęściej zostawia się w przedpokoju. Poza tem ubrania sportowe, do konnej jazdy, wiosłowania, lawn-tennis'u i t. p. Naturalnie, że cały ten repertuar obmyślany i wykonany bywa w stolicy, oprócz rzadkich u nas co prawda wyjątków, do których należą panie sprowadzające modne wzory i formy i szyjące same przy pomocy zdolnej panny służącej, swe drugorzędne tualety, a przeważnie letnie



Tualeta spacerowa.

sukienki. W lecie i na jesieni, każdy zamożny dom obywatelski zapełniony bywa gośćmi przybywającymi na czas dłuższy i spędzającymi ten pobyt, o ile się da najweselej i najprzyjemniej. Wspólne spacery, wycieczki piesze i konne, różne gry na świeżem powietrzu, urozmaicają życie—zjeżdzają się sąsiedzi, bawią się młodsi i starsi. We Francji nazywają to szumnie „La vie de château", u nas jest to poprostu piękna nasza polska gościnność. Wszystkie panie są bardzo eleganckie—ową specjalną wiejską, letnią elegancją, wykluczającą kosztowne materjały i skomplikowane fasony, a stawiającą na planie pierwszym batysty, muśliny i leciuchne przezroczne jedwabie, zręcznie okalające postacie. Najwytworniejsza warszawianka nic takim tualetom zarzucićby nie mogła. To samo da się powiedzieć o bardzo wielu tualetach pań zamieszkujących miasta prowincjonalne. Zdarzało mi się bywać w naszych miastach gubernialnych lub powiatowych na balach, koncertach i większych prywatnych wieczorach, zawsze patrzyłam z przyjemnością na istotnie ładne i gustowne tualety i przyznać musiałam, że u nas stolica nie posiada wyłączności elegancji, która wraz z wdziękiem i urodą jest *ogólnie* naszą, że Polki wszystkie lub prawie wszystkie, posiadają dar ładnego ubierania się, bo mają wrodzony gust, a przytem są niezmiernie ładne i urocze!...

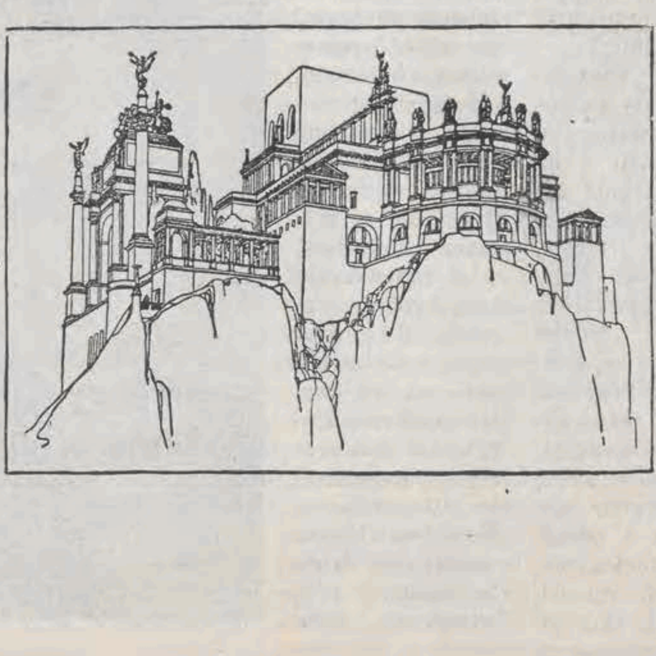
Marcèle.

Wskazówki kosmetyczne.

W listach od licznych swych korespondentek spotykam się często z kwestją — przykrego owłosienia twarzy, nawiedzającego i młode i starsze oblicza (górna warga i boki twarzy). Owłosienie to zdarza się również i na rękach, co przy krótkich rękawach, jest nie estetyczne. Jak temu zaradzić? Jak się tego pozbyć? Otóż w postępowej leczniczej kosmetyce są na to dwa sposoby: Jeden *radykalny* za pomocą tak zwanej *elektrolizy*, czyli całkowitego usunięcia włosów przez odpowiednie zastosowanie elektryczności, drugi usuwający owłosienie w miarę powtarzania się porostu za pomocą odpowiednich proszków i płynów zwanych *epilatorami*. Dla osób mieszkających w Warszawie, lub mogących tu przybyć, *elektroliza* jako *radykalna*, jest odpowiedniejszą, zwłaszcza przy owłosieniu *twarzy*. Jest to operacyjka nie przedstawiająca cienia niebezpieczeństwa, którą uskuteczniają świetnie pod nadzorem lekarskim w *Kalotechnice*. Parę nie utrudzających seansów, a jest się uwolnioną od owłosienia *raz na zawsze*. Z epilatorów, których są różne gatunki, wyróżniam *Epilator Lotos*, usuwający momentalnie owłosienie (trzeba się trzymać przepisu) *Epilator Lotos* jest wyrobem *Kalotechniki.*

Do powyższej wskazówki dołączam drugą, tyczącą się farbowania siwiejących lub siwych włosów na wszystkie kolory i odcienia. Otóż p. *Caro Lenveille*, chemik francuski, puścił w obieg farbę zwaną *Eau de Jouvence*, istotnie w zupełności odpowiadającą swemu celowi. Przedstawicielem tej farby w Warszawie jest *p. Roman Prochowski.* Jest ona najlepszą ze wszystkich mi znanych.

Marcèle.



POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

SKĄD SIĘ ZJAWIŁ PIERWSZY MIESZKANIEC AMERYKI?

Jednym z najciekawszych teraz i najważniejszych problematów — jest kwestja pochodzenia protoplasty amerykańskiego Indjanina. W związku z tą kwestją, dociekania dr. Elsa Hrdlic'ka, kustosza gabinetu fizycznej antropologji w Muzeum Narodowem — usiłują dowieść, iż amerykański indjanin przesiedlił się do tego kraju sposób powstało zaludnienie Ameryki i w którym to zaszło okresie?

W tym wypadku będziemy zmuszeni zwrócić się o pomoc do innych nauk, jak np. do geologji, geografji, anatomji porównawczej, historji kultury, bjologji i wielu innych.

Na ogólnem posiedzeniu Amerykańskiego Towarzystwa Antropologicznego i Antropologicznej Sekcji i Amerykańskiego Towarzystwa Nauk, odbywały się ciekawe dyskusje, tyczące się kwestji ilości korzeni rasy amerykańskiej i prawdopodobnego miejsca pochodzenia pierwotnych mieszkańców Ameryki. Wszystkie twierdzenia rozmaitych uczonych dowodzą, iż indjanin jest odnogą rasy Starego Świata, chociaż czas jego





Typy syberyjskich inorodców, mających wiele wspólnych cech z amerykańskim Indjaninem.

w okresie polodowcowym i jest przedstawicielem rzeki ludzkiej z północno-wschodniej Syberji, gdzie znajdował się w blizkiem powinowactwie, zarówno pod względem umysłowym jak i fizycznym, z żółtymi i brązowymi narodami Azji i Polinezji.

W ciasnym zakresie danych, które ten przedmiot obejmuje, odrazu nasuwają nam się dwa pytania: czy amerykański indjanin urodził się w Ameryce? Czy zjawił się tutaj w charakterze emigranta, z jakiegokolwiekbądź innego kontynentu? Dane, oparte na faktach, mówią prędzej na korzyść tego drugiego przypuszczenia, gdyż większość antropologów skłania się do hipotezy, iż kolebką ludzkiej rasy była Eurazja. Jeśli więc teraz przyjmiemy tę rozpowszechnioną teorję, to wówczas nasunie się pytanie, w jaki przesiedlenia się i dokładne miejsce jego dawniejszego zamieszkania są dotychczas kwestją sporną. Ponieważ większość uczonych amerykańskich zgadza się pod tym względem, przeto nie pozostało nic innego, jak tylko przyjąć ich teorję i wyczekiwać dowodów. Jeśli poglądy ich w kwestji pochodzenia indjan są trafne, w takim razie powinny istnieć archeologiczne relikwje, a nawet szczątki ich potomków, w oddalonych zakątkach wschodniej i północno-wschodniej Syberji, gdzie w bardzo wczesnych epokach żyło plemię ich przodków. Wychodząc z tego założenia, studenci - antropolodzy długo i pilnie szukali we wschodniej Azji tych przypuszczalnych przodków Indjan amerykańskich, lecz chociaż badania ich osiągnęły pewne wyniki, nie udało im się jednak znaleźć bezwzględnie pewnego

potwierdzenia tej hypotezy. W ciągu ostatniego roku na żadnej większej przestrzeni w wschodniej Azji nie dokonywano zupełnie antropologicznych poszukiwań i wskutek tego zostało wiele punktów, które należało zbadać i opisać, zanim można było mieć nadzieję ścisłego ustalenia pierwotnego miejsca zamieszkania tego rasowego pnia, od którego pochodzą amerykańscy tubylcy.

(d. c. n.) *K. G. B.*

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

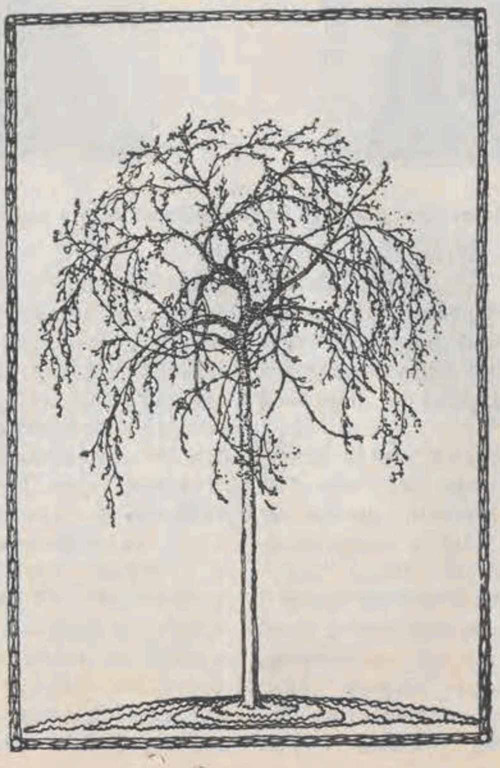
Wojna z komarami.

Te drobne, lecz dokuczliwe stworzenia, zatruwają nam nieraz rozkosze wiosny i lata i szczególniej w miejscowościach wilgotnych, albo nad brzegami stawów i strumieni stają się istną plagą. Różne istnieją sposoby ich tępienia. Naturalnymi wrogami komarów są niektóre gatunki ryb, a szczególniej karpie i tak pospolite u nas cierniki.

W amerykańskim stanie Teksas, nękanym przez zjadliwe moskity, w porównaniu z którymi nasze komary, innego jeszcze używają sposobu. Wiadomo, że larwy komarów trzymają się zawsze wód zacisznych, stojących, a nie znoszą wszelkiego ruchu, otóż dla ciągłego ich niepokojenia stawiają tam na najmniejszych nawet zbiornikach wody małe wiatraczki, które obracają zanurzane w wodzie koła. W Japonji odpędzają komarów za pomocą dymu. W Wenecji spalają przeciwko nim specjalne trociczki, zamknąwszy przedtem okna: woń ich obezwładnia wszystkie komary. Trociczki składają się ze świeżego proszku perskiego, zwilżonego wodą lub spirytusem, robi się z niego niewielkie pigułki i po wysuszeniu w ciepłem miejscu spala w sypialni. Zapach nafty także odułża te dokuczliwe owady, najskuteczniejszy jednak jest o l e j e k eukaliptusowy; nawet świeża gałązka tego drzewa położona w pokoju zabezpiecza od komarów. Odstrasza je również waselina z kwasem karbolowym, krople lawendowe, wyciąg spirytusowy bagna i maść parafinowa z komforą; jednym z tych środkow trzeba natrzeć sobie twarz, ręce i szyję, żeby uchronić je od ukąszenia. Miejsca pocięte przez komarów najlepiej posmarować słabym roztworem amoniaku, który zapobiega tworzeniu się świerzbiących wyrzutów.

Oprócz ryb naturalnymi wrogami komarów są ptaki owadożerne, szczególniej jaskółki i owady drapieżne, np. ważki i szklarze.

W Afryce mieszkańcy używają przeciwko moskitom rośliny „Ocimum viride“, zaliczonej do rodzaju „Bisilidum“; sprowadzona do Europy w roku 1823 pod nazwą „ziela febrycznego“, wielkością i kształtem przypomina nasze bodziszki (geranjum). Liście jej roztarte wydają silny zapach balsamiczny, odstręczający muchy i komary. Jeden jej wazon umieszczony na noc w sypialni, odstrasza moskity. W Azji to samo zastosowanie ma około 60 gatunków tej rośliny.



LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

10)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Co też ty mówisz? Czyżbyś się wobec tego niewypowiedzianego szczęścia z czymkolwiek liczyć umiała? Ależ staraj się jakoś zapanować nad sobą: wszak nie masz rady. Przecież jednakże on cię kocha!

— Jakże tam kocha... Wiesz tak dobrze jak ja, a może i lepiej jeszcze, o jego miłosnych wycieczkach. I dobrze, że tak jest. Gdyby mię kochał, byłoby o wiele cięższej: gryzłabym się, że mu szczęścia dać nie mogę. Wiesz, doprawdy bywają dziś jeszcze chwile, kiedybym od tego wszystkiego uciekła na koniec świata... o kiju żebraczym... Nie wiem, gdziem to wyczytała: „świat jest historją naturalną bólu, a życie całe, jednem wielkiem cierpieniem". Jaka to wielka, choć tak gorzka prawda. Ty jedna wiesz, jakem walczyła, ale teraz już tak zgmatwało się życie, że nawet buntu niema we mnie, niema rozterki. Ale to nie rezygnacja, to niestety, jest coś gorszego: jakaś martwota, jakaś obojętność na wszystko. Bo i poco się budzić do cierpień? poco duszę coraz rozpinać na krzyżu? Idę, nie patrząc ani za siebie, ani przed siebie. Tylko... od czasu do czasu... E, zmieńmy temat. Przeprowadziliście się?

— Nie, zostaliśmy jeszcze. Ale, znasz moją manję: przeniosłam gabinet na drugą stronę, a buduarek na miejsce gabinetu i jest o wiele lepiej. Ale co ty na to, że Żarski w Warszawie... Pani Hela zbladła gwałtownie.

— Co? gdzie? kto ci mówił?

— Nie czytujesz Kurjera? Urządza wystawę swoich prac. Myślę pójść do „Zachęty" lada dzień. Ten chłopiec tyle obiecywał, a od wyjazdu do Paryża słuch o nim przepadł.

— A naturalnie, że trzeba będzie pójść — odparła Hela jakimś nieswoim głosem.

— Wpadłam na niedługą chwilę — pani Awicz wstała, ale zajdź do mnie Helu na parę godzin, wygadamy się na wszystkie czasy. Jutro zaraz, dobrze?

— Na jutro ci przyrzec nie mogę, widzisz, co się tu dzieje, ale, jak tylko dojdę trochę do ładu, przybiegnę.

Nie zatrzymywała przyjaciółki.

Pragnęła być sama.

Odprowadziła do drzwi Awiczową i wróciła do sypialni.

Pani Lindner zaraz prawie po ślubie straciła oboje rodziców. Jedynaczka, wychowana starannie, entuzjastka, marząca o miłości „jak śmierć silnej", opierała się rozpaczliwie swemu zamężciu. Lamentowała walczyła przez długie miesiące. Kiedy się jednak w to wdała i ta „biedna mama" zahukana, wiecznie chora, Hela opuściła ręce i poszła za despotyczną wolą ojca. „Posada się chwieje", tłómaczył się przyjaciołom, „oboje kiepskie mamy zdrowie", co będzie z dziewczyną bez majątku, jak nas nie stanie? Trafia się dziecku karjera, człowiek, coprawda, trochę „nieskrobany", ale jestem pewien, że Hela swoją dobrocią i taktem wypędzi z niego dorobkiewicza. A trzeba się uwinąć, tym bardziej, że jej nie żartem w oko wpadł ten malarzyna. Ja tam, wiecie, nie mam przesądów, ale dać dziecko za chrześcijanina poto, żeby biedę gryzło...

Hela do ślubu szła, jak na ścięcie. Otoczona nietylko dostatkiem, ale i zbytkiem, nie potrafiła się jednak z losem swym pogodzić.

Biegunowe różnice charakterów, usposobień, coraz jaskrawiej się zaznaczały.

Czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Śmierć obojga rodziców, wkrótce jedno po drugiem, pokazała jej jak wygląda prawdziwe nieszczęście.

Uznawała to, z losem swym jednak pogodzić się nie mogła.

Zżyła się tylko ze swem cierpieniem, jak z nieodłączną częścią swego jestestwa. Przyrosło do niej, a z biegiem lat, proces jego z ostrego zamienił się na przewlekły... stępiał...

Dziś wszystko dawne ożyło na nowo. Podniosła głowę wielka jakaś tęsknota bolesna, piekąca.

Bezwiednie zbliżyła się do tualety, machinalnie poczęła rozczesywać swoje przepyszne włosy.

Chwilami zamierała w tępem zamyśleniu. Aż kiedy grzebień zaplątał się w okrywającej, jak płaszcz lity, masie złota, przypomniała sobie o swem istnieniu. Rozkołysane serce tłukło się w piersi, jak dzwon na trwogę,

Więc Żarski w Warszawie...

Czy się też bardzo zmienił?

W zamyśleniu wysunęła szufladę i wyjęła z niej szkatułkę.

Postawiła ją przed sobą, ale otworzyć nie śmiała.

Nie! nie! — broniła się omdlała wola. Nie! nie!

Jednakże otworzyła szkatułkę.

Żywo zatrzasnęła ją napowrót.

Nie! nie! nie!

Męka wewnętrznego zmagania wybiła jej na twarz.

Nie! nie!

Ręka jednak, jakby nieposłuszna woli, odruchowo podniosła wieczko.

Z karty, piękna głowa Żarskiego patrzyła na nią swemi wielkiemi, zamyślonemi oczami. Był jak żywy, patrzył jak niegdyś zwykł był patrzeć.

Pod pieszczotą tego spojrzenia, smutne usta młodej kobiety poczęły się mimowoli uśmiechać, jak do dobrego, zaufanego przyjaciela.

Im dłużej patrzyła, tem więcej mówiły jej te oczy, tem przemożniej omotywał ją czar ich pieszczoty.

Zerwała się cała drżąca.

Nie! trzeba raz z tym skończyć.

Przycisnęła rękoma roztrzepotane serce i z mężnym postanowieniem zbliżyła się do kominka.

Zawahała się, ale tylko chwilę.

Przymknęła oczy i trzymaną w ręku fotografję z rozmachem cisnęła w ogień.

Karta padła prosto, twarzą zwrócona ku niej.

Kiedy podniosła powieki, twarz ta z pośrodka płomieni prężyła się, kurczyła, wiła, niby w męce śmiertelnej, wznosiła się i opadała.

Ale oczy wciąż patrzyły, wciąż uśmiechały się usta.

Chwilę jeszcze krwawe języki pełzały, jak gady dogryzające spopielałe resztki i naraz niby miraż bolesny, zapadło się wszystko.

Hela, oczu rozszerzonych grozą nie mogła oderwać od tego auto-da-fe towarzysza młodości.

— Okropność! okropność! — wyszeptała, podnosząc ociężałą rękę do zroszonego potem czoła.

„W tej garstce perzyny spopieliła się twoja młodość, twoje sny i marzenia", — krzyczała w niej dusza zmęczona goryczą i tęsknotą.

Teraz jeszcze od tego ofiarnego ołtarza wypełznął ku niej wyrzut i lęk: a nuż w fotografji jest jakaś emanacja, jakaś cząska nas samych...

„I cóż ci zresztą ze spalonej fotografji, kiedy te jego oczy niezapomniane ciągle zastępują ci drogę?"

Zapomnieć!

Rzuci się w wir zabaw, flirtu.

Dwa dni chodziła rozbita, jak po ciężkiej chorobie.

Kiedy na trzeci dzień, we wspaniałej toalecie, jaśniejąca swą niezwykłą urodą, zajęła miejsce w loży, niktby nie powiedział, że ot, niedawno przez serce jej taka gradowa przeszła burza.

Tylko znającemu ją bliżej, nie zataiłby się wyraz roztargnienia i nudy, chmurzący chwilami jej rysy.

Pan Lindner obok, typ spasionego burżuja, ubrany bez zarzutu, nie zdawał się, wcale niezadowolonym ze wszystkich lornetek skierowanych na żonę.

Przeciwnie, czarne bystre oczki osadzone głęboko w pucołowatej twarzy, latały po sali z zadowolonem „a co?"

Widocznem było, że się ubierał w nią, jak w swoje brylanty u gorsu.

Wszystko, cokolwiek ten człowiek ro-

bił, o czem myślał, skierowane było jedynie ku wygodzie, lub zadowoleniu własnego „ja”.

Jego jedyne umiłowanie—fabryka, nie było umiłowaniem zawodu, ale dojnej krówki, dającej możność zaspakajania wszystkich „mydlarskich” wybryków.

Heli sztuczne podniecenie zagasło wkrótce. Myślami była daleko od tego, co się działo na scenie i naokoło niej...

(d. c. n.)

STEFAN GACKI.

Kochany pan Majer.

(Dokończenie). NOWELA.

Rósł w nim niepokój, ale jeszcze żadna logiczna nić nie wiązała w nim faktów i uczuć, które z trudem wysuwały się na powierzchnię świadomości.

— Skrodzki unikał go od pewnego czasu, szczególniej od chwili, gdy poręczył za nim w banku za ten weksel, niezapłacony dotąd — Mila namówiła go, by się zwrócił do Skrodzkiego.

— Ale Skrodzki zgodził się z taką gotownością... Panu Majerowi zdawało się może tylko, że Skrodzki go unika... Mila go namówiła...

Coraz to nowe myśli ze zdradziecką usłużnościa znosiły mu do głowy fakty, szczegóły, podejrzenia nabierające jakichś potwornych, coraz jaśniejszych kształtów.

— Mila jest u niego! Szarpnęło nim coś, przez nerwy i duszę przedarła mu się straszna prawda, ciągnąca za sobą cały splot innych plugastw, których pan Majer nie obejmował jeszcze, nie umiał rozczepić, ale już je postrzegał.

Spojrzał na zegarek. Musiał tu stać conajmniej od kwadransa. Więc czemu ona nie wychodzi?

Skrodzki bywał u nich dawniej częstym gościem, razem chodzili do teatru, do kawiarni; potem zaczął się nagle wymawiać: Tak samo było przedtem z Grossem, aż nastąpiła przykra scena, z której nic nie rozumiał, ale Mila przekonała go, że Gross bywa niepoczytalny, że lepiej będzie puścić wszystko w niepamięć i omijać go w przyszłości.

Zresztą Gross usprawiedliwił się w kilka dni potem grzecznym listem.

— Najprostszem było wejść teraz do Skrodzkiego, ale powstrzymywała go jakaś niepewność, jakaś obawa. Bo i dlaczegóżby nie miał wpierw pójść do Grossa i do...

Czaiły się w nim myśli jeszcze straszniejsze od tego wszystkiego, co już w tej chwili zaczynał zwolna obejmować. Nie godziły się one w nim jeszcze z wyrazem twarzy pani Mili, z jej zachowaniem się spokojnem, z tą wytwornością, która cechowała ją całą.

— Czy ona byłaby zdolna?!

A jednak z nieodpartą niczem natarczywością wysuwały mu się z pamięci coraz to nowe spostrzeżenia, niedomówienia ludzkie, rozmaite manewry pani Mili, z których śmiał się wówczas pobłażliwie, a które dziś zupełnie innego nabierały znaczenia.

— Sprawdzić, przekonać się, huczało w nim wszystko. Zawrócił, poprawił kapelusz i pobiegł pędem w stronę domu. Sam otworzył sobie drzwi i, nie zdejmując palta, wpadł do pokoju żony. Pobiegł do biurka, szarpnął, jedną szufladą, była zamknięta na klucz, druga, trzecia — to samo. Podważył kolanem blat, uderzył w niego z dołu pięścią, filigranowy mebel zatrzeszczał, zamki puściły; pan Majer wysunął wszystkie szufladki i rzucił się na ich zawartość. Chwycił za jakąś plikę papierów i czuł, że nie starczy mu spokoju, by je teraz przeglądać, rozsunął je szeroko, na stole chwytał pierwszy lepszy w rękę, czytał parę słów i ciskał go na podłogę.

W szufladach panował wzorowy porządek; widocznie każda rzecz miała swoje miejsce; listy były starannie składane, rachunki zajmowały osobną przegródkę.

Pan Majer, spostrzegł to, odsunął listy, sięgnął po rachunki. Z pliki papierów wysunął się podłużny, zgięty na dwoje zeszyt. Książka czekowa paryskiego Credit Lyonais. Przerzucił kupony, pozostające po odcięciu czeku i szybko przeglądał na nich wymienione sumy. Charakter pisma był Mili, ale kto był właścicielem książki? Szukał dalej i w ręce wpadła mu szeroka, niezaklejona

koperta; otworzył ją i wyjął złożony we czworo weksel. Był formalnie pokwitowany przez bank i przedarty w miejscu gdzie na odwrotnej stronie znajdował się podpis żyranta. Pan Majer zdumiał się: trzymał w ręce własny weksel, poręczony przez Skrodzkiego i wykupiony zapewne przez niego przed terminem. Robiła im udogodnienia, udzielała kredytu, a on, on był cichym wspólnikiem i naiwnym pośrednikiem w tych tranzakcjach.

Wsparł się łokciami na biurku i głowę ukrył w dłoniach.

Do dna teraz dotarł. Zrozumiał wszystko. W dniu płatności wekslu, pani Mila przypomniała by mu o tem i zaproponowała że wyręczy go w banku. Pieniądze wędrowały do kieszeni Mili; on je zwracał ale o tem nikt nie wiedział, i wobec Skrodzkiego i tamtych—on, on sam otrzymał pieniądze, które zwracali inni, dzielił się z żoną, może jej jeszcze wydzielał! Może ją krzywdził! Haha! ha! Nędzna!

A on dziś, jeszcze przyznawał się głośno przed Wąsowiczem, że ludzie czynili mu grzeczności, on śmiał mówić o pieniądzach. Niedawno Wąsowicz zbywał go milczeniem i chciał co prędzej uciec, a on i tego wówczas nie spostrzegł. Bo Wąsowicz musi też wiedzieć o wszystkiem. Wszyscy wiedzą od lat — a on żył, śmiał się podawał ludziom rękę!

Odsunął szufladę, wstał i, potykając się o rozstawione kufry i krzesła, chodził z kąta w kąt po pokoju.

— Teraz wie wszystko, ale co ma począć? jak się bronić? jak się zemścić? O gdyby teraz weszła tutaj, rzuciłby się na nią jak pantera, i biłby to ciało, które pieścił jak najsłodszą tajemnicę, które inni skubali jak znieczuloną pierś dziewki ulicznej. Zbić, skopać, poranić, popsuć to piękne ciało, a dusza? dusza już dawno z niego wywietrzała. Więc na kim się tu mścić!?

Albo oni, tamci? Wyjdzie na ulicę i pierwszemu z nich, którego napotka, da w twarz. Za co? Czy ktokolwiek uwierzy że do dzisiejszego dnia mógł być tak bezdennie naiwnym?.. tak podle łatwowiernym i ślepym, i głuchym, i tak głupim, że nie zrozumiał dziś jeszcze milczenia Wąsowicza.

— Tak, do niego jednego pójdzie.

Nie gasząc elektryczności wyszedł z pokoju, drzwi zamknął i klucz schował do kieszeni.

— Pójdzie do Wąsowicza i każe mu plunąć sobie w twarz.

Ulżyło by mu, gdyby choć jeden uczciwy człowiek plunął mu w oczy.

W jadalni było ciemno; pan Majer usiadł na najbliższem krześle pod ścianą i ręce bezradnie zarzucił na kolana.

Stanęła teraz przed nim odpowiedzialność poznania prawdy i uląkł się.

— Nie, niema żadnego wyjścia. On sam zbyt wiele dał dowodów przeciw sobie, by teraz mógł się wyprzeć — a zresztą przed kim? Może ona sama przypuszcza już chwilami, że on domyślał się wszystkiego i zgadzał się, ciągnął zyski — —

Choćby nie wierzyła w to — napewno rzuci mu w twarz te obelgę, gdyby tylko mówić zaczął.

Ona niedługo wróci; znajdzie drzwi do swojego pokoju zamknięte i przyjdzie tutaj!

Byle nie teraz, zanim jeszcze cośkolwiek postanowił!

I jak on jej to powie?

Prawda, znajdzie papiery porozrzucane, weksel leżący na biurku i domyśli się wszystkiego.

Pan Majer zerwał się na równe nogi i pobiegł do pokoju żony.

Ręce drżały mu i nie mógł trafić kluczem do dziurki, by otworzyć drzwi.

— A gdyby tak usunąć się z tego wszystkiego jednym strzałem — Lufa do ust — przemknęło mu przez głowę, raczej jako obraz, niż jako myśl.

Lecz obraz pierzchnął równie szybko, jak przyszedł.

Wreszcie desperacki nakaz woli, silniejszy nad wszystko, co czuł dotychczas, uspokoił drżenie rąk, z nieprzepartą mocą skierował ku drzwiom.

Wolno otworzył je, ciężkim krokiem wszedł do pokoju, zbierał i skrzętnie układał porozrzucane papiery, zamykał jedną szufladę po drugiej — i zacierał ślady swego odkrycia.

KONIEC.

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

(Dokończenie).

— Wierzę temu najzupełniej, — rzekł Monipodio, — gdyż znam Desmochada jako rzetelnego pracownika i wiem, że gdyby nie tak ważna przeszkoda i z trudniejszem przedsięwzięciem dałby sobie radę. Czy jest co więcej, synu?

— Nie, mistrzu, — odparł Rinconete.

— Idź więc dalej, a szukaj rubryki pod tytułem: Wykaz obelg pospolitych.

Rinconete, odwróciwszy kartę, przeczytał:

Wykaz obelg pospolitych, dla pamięci: na czyich plecach tłuc butelki, kogo smołą wysmarować, komu rogi lub ośle uszy, nad kim się znęcać, kogo wystraszyć, komu nożem grozić i t. p.

— Cóż dalej stoi? — zapytał Monipodio.

— Niżej, — rzekł Rinconete, — napisano: wysmarować smołą w domu...

— Nie czytaj nazwy domu, — przerwał Monipodio, — bo wiem już o co tu chodzi. W dziecinnej tej sprawie ja sam jestem egzekutorem, a wynagrodzenie wynosi ośm dukatów, z których cztery odebrałem.

— Istotnie, wszystkie te szczegóły są tu wymienione, — ozwał się Cortado, — niżej zaś napisano: przypiąć rogi...

— I tu nie czytaj nazwiska, — przerwał Monipodio, — bowiem obelga sama wystarcza i nie należy rozgłaszać jej na wszystkie strony i obciążać sobie sumienia. Ja przynajmniej, wolałbym tysiąc rogów przypiąć i tyleż oślich uszu (pod warunkiem, że za taką pracę odbiorę należytą zapłatę), niż raz jeden się zdradzić, choćby to miało być przed matką, która mię na świat wydała.

— Egzekutorem jest tutaj Nariqueta, — rzekł Rinconete.

— Ta sprawa już załatwiona i zapłata za nią odebrana. Patrz dalej, jeśli bowiem się nie mylę, musi tam być zapisana pewna sprawa z postrachem za dwadzieścia dukatów: połowę tej kwoty zapłacono, a w wykonaniu ma wziąć udział cała gmina, termin zaś za miesiąc. Wszystko, co tam zapisano, spełnimy co do joty i będzie to jeden z najpiękniejszych czynów jakie od niepamiętnych czasów dane było oglądać naszemu miastu. Dajże mi książkę, młodzieńcze, gdyż wiem, że nic więcej niema tam zapisanego i wiem również, że robota źle idzie; ale po latach niepowodzenia nastąpią lepsze czasy i tyle będziemy mieli poruczeń, że nie zdołamy wszystkim naraz dogodzić. Nic się na świecie nie dzieje bez dopuszczenia Bożego i nie naszą to rzeczą zmuszać kogokolwiek, by do nas się zgłaszał po usługi, tembardziej, że każdy jest zuchem w swym domu i nikt niema ochoty płacić innemu za robotę, której może sam podołać.

— Wszystko to prawda, — ozwał się Repolido. — Niech jednak Waszmość nie zapomina, że nie otrzymaliśmy jeszcze na dziś żadnych rozporządzeń, a tymczasem południe się zbliża i słońce zaczyna przypiekać nie na żarty.

— Oto więc, co należy uczynić,—rzekł Monipodio, — każdy z was niech pójdzie zająć swój posterunek i do niedzieli niech zatrzyma wyznaczone mu miejsce. W niedzielę znowu się tutaj zbierzemy i podzielimy między sobą sprawiedliwie wszystko, co się do tego czasu nadarzy. Rinconete dobrotliwy i Cortadillo niechaj do niedzieli upatrzą sobie miejsce za granicami miasta, między Złotą wieżą a bramą *del Alcázar*, gdzie można swobodnie ćwiczyć się w szermierce. Widziałem ja takich, którzy choć mniej od nich mieli zdolności, przynosili jednak codzień po dwadzieścia reali drobnymi, nie licząc srebra, posługując się jedną tylko talją, a i w tej czterech kart brakowało. Ganchoso pokaże wam to miejsce; a gdybyście nawet mieli pociągnąć aż do kościoła św. Sebastjana, nic to nie szkodzi, gdyż tego jedynie należy przestrzegać, aby nikt cudzych miejsc nie zajmował.

Chłopcy ucałowali mu rękę, dziękując za łaskę, jaką im okazał i przyrzekli rzetelnie pełnić swe obowiązki, nie zaniedbując żadnych starań i ostrożności. Monipodio tymczasem wyjął z kaptura swego płaszcza złożony arkusz papieru, na którym wypisana była lista członków i polecił, aby Rinconete umieścił tam nazwiska, swoje i Cortadilla; ponieważ nie było w domu kałamarza, Monipodio kazał chłopcu iść z listą do najbliższej apteki i zapisać wszystko w następujący sposób: *Rinconete i Cortadillo członkowie; przyjęci bez nowicjatu; Rinconete szermierz, Cortadillo doliniarz;* data i podpisy, bez wymienienia nazwiska rodziców i miejsca urodzenia.

W trakcie tego wszedł jeden ze starych szerszeni i powitał obecnych temi słowy:

— Przychodzę donieść Ichmościom, że spotkałem przed chwilą Wilczka, tego z Malagi, powiada, że tak się wydoskonalił w swej sztuce, iż grając nowiutkiemi kartami, podejmuje się okpić samego Belzebuba. Dodał, że dziś nie może się tu stawić, ani zdać sprawy ze swych działań, gdyż jest wezwany przez ceklarzy, ale w niedzielę przyjdzie z wszelką pewnością.

— Zawsze mówiłem, — rzekł Monipodio, — że ten Wilczek będzie rychło mistrzem w swej sztuce, gdyż ma ręce jakgdyby stworzone do szermierki. W tem bowiem rzemiośle dobre narzędzie pracy jest niemniej ważnym warunkiem powodzenia, jak rozum, który pozwala człowiekowi nauczyć się należycie swej sztuki.

— Spotkałem też w pewnym domu zajezdnym na ulicy de Tinbores owego żyda, który podaje się za kleryka; zamieszkał on tam, gdyż dowiedział się, że dwaj peruwiańczycy w tymże domu wynajęli pokoje. Przypuszcza, że uda mu się namówić ich do gry, a choćby na początek zyski były niewielkie, z czasem znaczniejszych

spodziewa się wyników. Podobnie jak Wilczek, zapewnia, że w niedzielę przyjdzie na zebranie i zda sprawę ze swych działań.

— Ten żyd, — rzekł Monipodio, — również doskonale pracuje, a posiada przytem wielkie doświadczenie. Oddawna go już nie widziałem, a źle robi, że się nie pokazuje; zaiste, jeśli się nie poprawi, będę musiał popsuć mu szyki, bo złodziej ten prawdziwie tureckich trzyma się porządków, a łaciny umie tyle, co moja matka. Czy jest jeszcze co nowego?

— To wszystko, — odparł starzec, — ja przynajmniej o niczem więcej nie wiem.

— Dobrze, — rzekł Monipodio, — ta drobnostka dla was, dzieci, (to mówiąc, podzielił między zebranych koło czterdziestu reali), a w niedzielę niechaj nie zbraknie nikogo, bo odbędzie się podział zysków.

Podziękowali mu wszyscy; Repolido i Cariharta znowu padli sobie w objęcia, a w ślad za nimi toż samo uczynili Escalanta i Maniferro, Gananciosa i Chiquiznaque, poczem postanowili zejść się wieczorem u Pipoty. Miał tam przyjść i Monipodio, aby sprawdzić zawartość kosza, następnie zaś zamierzał uskutecznić wyprawę ze smołą, o której wyżej była mowa.

Monipodio ucałował Rinconeta i Cortadilla i pobłogosławił im na pożegnanie, poleciwszy, aby nigdy nie mieli pewnej i stałej siedziby, gdyż tej ostrożności wymagało dobro ogółu. Ganchoso zaprowadził chłopców na wskazane im posterunki i opuszczając ich, przypomniał aby stawili się w niedzielę, przypuszczał bowiem, że Monipodio zamierzał przeczytać instrukcje dotyczące właśnie ich rzemiosła. Wreszcie, nasi dwaj towarzysze zostali sami i długo jeszcze myśleli z podziwem o wszystkiem, co dnia tego widzieli.

Rinconete, choć młody jeszcze, miał jednak wiele rozumu i obdarzony był od natury dobrym charakterem, a zajmując się ze swym ojcem sprzedażą indulgencji, nauczył się był nieco gładkiej wymowy. To też uśmiał się serdecznie, wspominając słowa, które usłyszał był z ust Monipodia i jego zacnych kompanów: jak Monipodio, zamiast *per modum suffragii*, powiedział *per modum naufragii;* jak Cariharta, myśląc pewno o drapieżcach Hirkanii, nazwała Repolida Okieńskim tygrysem; spodobała mu się szczególnie Cariharta, kiedy życzyła sobie, aby trud, z jakim zdobyła swe dwadzieścia cztery reale został jej policzony w niebie przy odpuszczeniu grzechów; a nadewszystko w podziw go wprawiała ta ich wiara, że wystarczy im modlić się codzień, aby pójść do nieba, pomimo wszystkich kradzieży i zbrodni, któremi obciążone były ich sumienia. Śmiał się, myśląc o owej staruszce, która przechowywała u siebie kosz skradziony, co nie przeszkadzało jej zapalać świeczek przed obrazami świętych i wierzyć niezłomnie, że po śmierci dostanie się prosto do nieba. Niemniej niż to ich nabeżeństwo, dziwiły go u tych ludzi oznaki uległości i szacunku wobec Monipodia, mimo jego nieuctwa i brak serca. Wspomniał wszystko, co wyczytał w jego książce do notatek i różne rozprawy tam wymienione. Pomyślał wreszcie o tem, jak źle w owej cudnej Sewilli władze wywiązują się z zadania i jak opieszale działać musi sprawiedliwość skoro ludzie tak szkodliwi mogą w mieście tem żyć bezkarnie wbrew prawom ludzkim i przykazaniom Boskim. I postanowił przełożyć swemu towarzyszowi, aby zaniechał tego życia zatracenia, tak pełnego niepokojów, tak [wszetecznego i nikczemnego. Lecz mimo wszystko, że był młody i niedoświadczony, spędził jeszcze wśród tych ludzi kilka miesięcy, a w ciągu tego czasu zaszło wiele wypadków, które wymagają dłuższych opisów. Zostawiamy więc na inny raz opowieść o życiu Rinconeta i cudach, które dane mu było oglądać, jak również o czynach Monipodia i innych członków tej nikczemnej akademji, a wszystkie wypadki, które w owej historji znajdą odgłos będą pierwszorzędnej wagi i służyć będą mogły przykładem i ostrzeżeniem dla czytelnika.

KONIEC.

H. DE BALZAC.

7)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Baron, jego babka i komandor odetchnąli pełną piersią. Poczciwa staruszka uściskała wnuka, roniąc łzy i opuściła go, aby w swym pokoju podziękować Bogu modlitwą. Biedna wdowa, która złożyła nowennę na intencję ocalenia Augusta, sądziła, że to jej zasługa.

— Wobec tego możesz udać się na bal, o którym mi mówiłeś, — rzekł komandor. — Nie mam nic przeciw temu.

August udał się na bal tem chętniej, że spodziewał się spotkać tam z panią Juljuszową. Bal ten odbywał się w salonie prefekta departamentu Sekwany, u którego arystokracja spotykała się z finansjerją i biurokracją, jako na terenie neutralnym. August przeszedł przez wszystkie sale, lecz nie ujrzał tej, która wywarła tak wielki wpływ na jego życie. Wszedł więc do odludnego jeszcze buduaru, w którym stoliki do kart oczekiwały do graczy i siadł na kanapce, my-

śląc o pani Juljuszowej. Wtem ktoś ujął go za ramię i młody człowiek skamieniał ze zdziwienia, widząc przed sobą biedaka z ulicy Coquilière, Ferragusa Idy, mieszkańca Soly, Bourignarda—według informacji Justyna, galernika—według policji, wczorajszego nieboszczyka.

— Panie, ani słowa, — rzekł Bourignard, którego głos baron poznał natychmiast, lecz który dla każdego innego byłby nie do poznania. Był elegancko ubrany; kostjum jego zdobiły liczne odnaczenia, a w ich liczbie order Złotego Runa.

— Panie, — rzekł głosem, który świszczał, jak głos hyjeny, — skłania mnie pan do użycia środków ostatecznych, uciekając się pod opiekę policji. Umrzesz pan. To nieuniknione. Czy pan kocha panią Juljuszową? Czy był pan przez nią kochany? Co upoważnia pana do zakłócania jej spokoju oczerniania jej cnoty?

Ktoś wszedł. Ferragus wstał, aby wyjść.

— Czy zna pan tego człowieka? — spytał, chwytając Ferragusa za kołnierz.

Ale Ferragus wyrwał się, schwycił oficera za włosy i kilkakrotnie potrząsnął jego głową.

— Czy trzeba wpakować w nią nieco ołowiu, żeby zmądrzała? — rzekł drwiąco.

— Nie znam go osobiście, — rzekł de Marsay, świadek tej błyskawicznej sceny. — Lecz, o ile mi wiadomo, jest to pan de Funcal, bogaty Portugalczyk.

Rzekomy pan de Funcal znikł. Baron pobiegł za nim, lecz nie mógł go dogonić. Gdy był w przedsionku ujrzał śmiejącego się Ferragusa w powozie, który ruszył kłusem.

— Panie, — rzekł August, wróciwszy do salonu i zwracając się do pana de Marsay, którego znał, — gdzie ten Funcal mieszka.

— Nie wiem, ale pewnie ktoś tu będzie wiedział.

Baron, zapytawszy się prefekta, dowiedział się, że hrabia de Funcal mieszka w ambasadzie portugalskiej. W tej chwili, gdy zdawało mu się, że czuje we włosach mroźne palce Ferragusa, August ujrzał panią Juljuszową w rozkwicie jej urody, świeżą, wdzięczną, naiwną, olśniewającą tym wyrazem świętości, który podbił niedawno jego serce. Lecz obecnie ta piekielna dla niego istota budziła w nim tylko nienawiść. I nienawiść ta, straszliwa, krwawa, strzelała z jego spojrzeń. Upatrzył chwilę, gdy mógł przemówić do niej, nie będąc słyszanym przez nikogo i rzekł:

— Pani, już poraz trzeci twoje zbiry chybiły...

— Ależ, panie! Co pan mówi? — odparła zaczerwieniona. — Wiem, że zdarzyło się panu kilka przykrych wypadków, które mnie bardzo zmartwiły. Ale co ja mogę mieć z tem wspólnego?

— Wie pani dobrze, że na życie moje człowiek z ulicy Soly nastawił zbirów.

— Panie!

— Pani, teraz już nie ja jeden zażądam od pani porachunku nie za moje szczęście, lecz za moją krew...

W tej chwili zbliżył się Juljusz Desmarets.

— Co pan powiedział mojej żonie? — spytał.

— Niech się pan pofatyguje do mnie, jeśli pan ciekaw, a dowie się pan.

I Maulincour wyszedł z salonu, zostawiając panią Juljuszową bladą i niemal omdlałą.

Wkrótce małżeństwo opuściło bal. Kareta szparko niosła ich po uśpionych ulicach Paryża. Pan Desmarets siedział po lewej stronie, pani Juljuszowa — po prawej. Zdążyła już ochłonąć z wrażenia i teraz siliła się na spokój. Mąż nie powiedział jeszcze ani słowa i siedział milczący. Spoglądał przez szybę karety na milczące mury domów, które mijali, wtem na skręcie, jakgdyby pod wpływem nagłej myśli, począł bacznie przyglądać się żonie, która, pomimo ciepłego futra, poczuła przechodzące ją zimno.

— Co ci mógł baron powiedzieć takiego, żeś była tak wzruszona. I co znaczyło to zaproszenie mnie do siebie, żeby mi coś powiedzieć?

— Nie powie ci nic takiego, czego jabym ci nie powiedziała w tej chwili, — odparła.

Potem, z tą kobiecą przebiegłością, która zawsze poniża cokolwiek cnotę, przygotowywała sobie w myśli odpowiedź na nowe zapytanie, którego się spodziewała. Lecz mąż odwrócił głowę i znów pogrążył się w obserwacji domów, które mijali. Czyż nowe pytanie nie świadczyłoby, że żywi jakieś podejrzenia, nie dowodziłoby nieufności? A podejrzewać kobietę, jest w miłości wprost zbrodnią. Wszak zabił raz człowieka, a nie wątpił o wierności żony... Tego rodzaju myśli powstrzymywały cisnące się na usta pytanie. Lecz Klementyna nie wiedziała, ile niekłamanego uczucia i głębokich rozmyślań kryło się w milczeniu jej męża; podobnie jak Juljusz nie wiedział, co za bolesny a piękny dramat ściskał w tej chwili serce Klementyny. I kareta toczyła się po Paryżu, wioząc dwoje kochanków, którzy ubóstwiali się wzajemnie, siedzieli obok siebie, a których w tej chwili dzieliła niezmierzona przepaść.

— Zimna noc! — rzekła pani Juljuszowa.

Ale mąż nie słyszał. Studjował w tej chwili czarne szyldy nad sklepami.

— Klementyno, — rzekł wreszcie, — przebacz mi pytanie, które ci zadam.

— Stało się, — pomyślała ze zgrozą żona.

— Dobrze, — odparła, wyprzedzając zapytanie, — chcesz wiedzieć, co mówił mi pan de Maulincour. Powiem ci, ale doprawdy boję się. Czy między nami powinny istnieć sekrety? Widzę, że od paru minut toczy się w tobie walka między miłością a jakąś nieokreśloną obawą. Ale czyż nasze sumienia nie są dość czyste, aby zwyciężyć niejasne podejrzenia. Czy nie lepiej opierać się na pewności, że sumienia nasze są czyste, niż zagłębiać się w treść czyichś słów? Kiedy opowiem ci wszystko, będziesz chciał wiedzieć więcej, a tymczasem ja sama nie wiem, co oznaczały dziwne słowa tego człowieka. I boję się jakiegoś tragicznego zajścia między wami. Doprawdy, wolałabym, żebyśmy zapomnieli i nie mówili o tem. Ale cóż robić? Jeżeli chcesz

koniecznie żebym ci powiedziała... Tylko musisz mi przysiądz, że nic nie przedsięweźmiesz dopóki ta sprawa nie wyjaśni się. Otóż pan de Maulincour powiedział mi, że trzy wypadki, o których pewnie słyszałeś: kamień, który spadł z rusztowania i zabił jego służącego, złamanie się osi w jego kabrjolecie i jego pojedynek z powodu hrabiny de Serizy—były wynikiem spisku, który ja uknułam przeciw niemu. Potem zagroził mi, że wyjaśni tobie, co skłania mię do czyhania na jego życie. Czy rozumiesz coś z tego? Trudno mi było się nie przestraszyć jego twarzy, prawie obłąkanej, jego błędnych oczu i słów, wyrzucanych z szaloną furją. Myślałam że zwarjował. I to wszystko. Dodam ci, że nie byłabym kobietą, gdybym nie była zauważyła już od roku, że stałam się, jak to mówią, przedmiotem westchnień barona. Ale spotykał się ze mną tylko na balach i prowadził jedynie nic nie znaczące rozmowy, jakie prowadzi się zwykle na balach. Może chce nas rozłączyć. aby widzieć mnie samotną i bezbronną... A widzisz! Już marszczysz brwi... Ah, jak ja nienawidzę ludzi! Tak nam dobrze bez nich! i pocóż nam oni? Błagam cię, Juljuszu, przyrzeknij mi zapomnieć o tem. Pewnie jutro dowiemy się, że baron oszalał.

— Dziwna rzecz! — pomyślał Juljusz, wysiadając z karety przed pałacem.

Podał żonie ramię i udali się razem w głąb apartamentów.

Aby nie opuścić żadnego szczegółu w naszem opowiadaniu, aby zaznajomić czytelnika z wszystkimi drobiazgami, pozwolimy sobie przeniknąć za kotarę sypialni małżeńskiej i zdradzić nieco tajemnic, miłosnych. Uczynimy to jednak bez wyuzdania, tak żeby nie obruszyć nikogo i pozostać równie skromnymi, jak nasz piękny język francuski, równie szczerymi, jak pędzel Gérarda w obrazie „*Dafnis i Cloe*". Sypialnia pani Juljuszowej była miejscem świętem, niedostępnem. Tylko ona mąż i służąca mieli prawo wstępu do tego sanktuarjum. Bogactwo posiada cenne przywileje, z nich zaś najbardziej godne zazdrości są te, które pozwalają rozwijać uczucia w całej ich rozciągłości, zapłodnić je tysiącem kaprysów, otoczyć blaskiem, który je zwiększa, wyszukaniem, które je oczyszcza, subtelnościami, które czynią je ponętniejszemi jeszcze. Jeśli nienawidzicie obiadów zjadanych na prędce i niedbale podanych, jeśli znajdujecie pewną przyjemność w oślepiająco białym i wytwornym obrusie, srebrnej zastawie stołowej, pozłacanych stołach, subtelnie cyzelowanych, oświetlonych rzęsiście, jeśli gustujecie w arcydziełach wyszukanej kuchni, — to niewątpliwie zgodzicie się ze mną. Zgodzicie się, że mansardy pod dachami domów i gryzetki z ulicy pozbawione są zgoła uroku. I porzucicie mansardy, gryzetki, obiady w podrzędnych jadłodajniach, bo zrozumiecie, że miłość jest czemś, co w całym wdzięku rozwija się jedynie na posadzkach wysłanych wschodnimi kobiercami, w świetle marmurowych lamp, wśród ścian pokrytych atłasami, przed złoconym kominkiem, w pokoju, zabezpieczonym przed gwarem sąsiednich mieszkań i ulicy za pomocą okiennic, żaluzji, falujących firanek. Zatęsknicie za lustrami, w których igrają formy ciała, dając wam wielokrotne odbicia kobiety, którą chcielibyście posiadać w tysiącznych postaciach i której miłość nadaje tysiączne postaci. Zatęsknicie za niziutkiemi kanapami, za dyskretnie ukrytem łóżkiem, które, niczem tajemnica, ukazuje zaledwie mały rąbek; za rozkosznym pokoikiem, gdzie niedźwiedzie skóry pieszczą bose nóżki, gdzie świece pod szkłem i abażurami głaszczą wzrok, gdzie kwiaty mile upajają swą wonią, a miękkie batysty, godne królowej nie rażą delikatnej skóry.

Pani Juljuszowa urzeczywistniła to marzenie; lecz nie na tem koniec. Każda obdarzona smakiem kobieta potrafiłaby uczynić to samo choć niezaprzeczenie istnieje w sposobie urządzania tego rodzaju gniazdek coś osobistego, coś co nadaje pewnym szczegółom jakiś wyłączny, nie dający się naśladować charakter. Dziś bowiem bardziej niż kiedykolwiek opanowani jesteśmy fanatyzmem indywidualistycznym. Im bardziej prawa zmierzają ku niemożliwej do urzeczywistnienia wolności, tem dalej odbiegają od niej obyczaje. To też we Francji ludzie bogaci poczynają stawać się coraz bardziej wyłącznymi w swych gustach; szczególniej zaś w rzeczach intymnych. Pani Juljuszowa była mistrzynią w tym kunszcie i potrafiła znakomicie sharmonizować zbytek z miłością. Gdyż miłość w chatce, opiewana przez poetów, nie na długo wystarcza nawet stoikom. I nawet oni po pewnym czasie, o ile prawdziwie kochają, stają się smakoszami i poczynają wzdychać do skarbów gastronomji. Miłość obawia się zarówno pracy jak i nędzy. Przekłada ona śmierć nad wegetację. (d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.